

**JOSEPH SHERIDAN LE FANU**

**CARMILLA**

TYTUŁ ORYGINAŁU: CARMILLA  
PRZEKŁAD: MACIEJ KOZŁOWSKI



WYDAWNICTWO LITERACKIE KRAKÓW 1974

Mimo że rodzina moja nie należy do znacznych, posiadamy w Styrii zamek, czy też — jak tu mówią — *Schloss*. W tych stronach niewielki nawet dochód znaczy bardzo wiele, a nie-spełna tysiąc funtów rocznie wydaje się ogromną sumą. W kraju dochód taki nie pozwoliłby nam zaliczać się do ludzi zamożnych. Ojciec mój jest Anglikiem, więc i ja noszę angielskie nazwisko, choć nigdy nie widziałam Anglii. Tu jednak, w tej odludnej i dzikiej okolicy, gdzie wszystko jest tak bajecznie tanie, nawet znacznie większe dochody nie mogłyby czegokolwiek dodać do dostatku, a nawet zbytku, w którym żyliśmy.

Ojciec mój był w służbie austriackiej; dzięki emeryturze i ojcowiznie nabył za bezcen tę feudalną rezydencję i otaczające ją niewielkie dobra.

Trudno wprost wyobrazić sobie coś bardziej malowniczego i odludnego. Zamek stoi na niewielkim wzniesieniu w lesie. Prowadząca doń stara, wąska droga mija most zwodzony, którego za mojej pamięci nigdy nie podnoszono, i ciągnie się nad fosą pełną okoni, po której w gęstwinie białych lilii wodnych pływają łabędzie. Ponad tym wszystkim wznosi się fasada zamku z licznymi oknami, jego wieżyce i gotycka kaplica.

Przed bramą las otwiera się na niezwykle malowniczą polanę o nieregularnym kształcie. Po jej prawej stronie stromo sklepiony gotycki most przenosi drogę nad wijącym się w gęstym mroku leśnym strumieniem.

Wspomniałam już, że jest to miejscowość niezwykle odludna. Zresztą osądźcie sami: las, w którym stoi nasz zamek, ciągnie się — kiedy patrzymy od głównego wejścia ku drodze — w prawo przez

piętnaście, a w lewo przez dwanaście mil. Najbliższa zamieszkała osada znajduje się o siedem mil angielskich. Najbliższy zamieszkały zamek o historycznym znaczeniu to siedziba generała Spielsdorfa, leżąca nieomal o dwadzieścia mil na prawo.

Powiedziałam: „najbliższa zamieszkała osada”, bowiem zaledwie o trzy mile na zachód, w kierunku zamku generała, leżą ruiny wsi z osobliwym małym kościółkiem, dziś już bez dachu; w jego nawie niszczą groby dumnego ongiś, dziś wygasłego rodu Karnsteinów, których zamek, równie opuszczony, spogląda z gęstwiny lasu na nieme ruiny miasteczka.

Przyczynę opuszczenia owego szczególnego, ponurego miejsca tłumaczy pewna legenda, którą przytoczę w dalszej części opowieści.

Muszę jeszcze powiedzieć, jak niewielu domowników zamieszkuje nasz zamek. (Nie wspominam tu o służbie ani o mieszkańcach budynków przylegających do zamku).

Proszę posłuchać: mój ojciec, najlepszy człowiek pod słońcem, ale w podeszłym wieku, i ja, w czasie gdy rozgrywają się opisane tu wydarzenia — przed ośmiu laty — licząca zaledwie dziewiętnaście wiosen. Ojciec i ja stanowiliśmy całą rodzinę. Matka moja, styryjska dama, umarła w czasie, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Miałam wszakże łagodnego usposobienia opiekunkę, będącą u nas, rzecz mogę, nieomal od czasów mego niemowlęctwa. Jak daleko sięgam pamięcią, widzę nad sobą jej pocziwą, pulchną twarz. Madame Perrodon pochodziła z Berna; jej troskliwość i dobroć w części przynajmniej wynagradzały mi brak matki, której na-wet nie przypominam sobie, tak wcześnie ją straciłam. Była to więc trzecia osoba zasiadająca przy naszym stole. Czwartą była mademoiselle de Lafontaine, dama, którą można określić jako guwernantkę.

Mademoiselle władała językiem francuskim i niemieckim, madame Perrodon francuskim i łamaną angielszczyzną; my zaś z ojcem na co dzień rozmawialiśmy po angielsku, po części, aby tego języka nie zapomnieć, po części z pobudek patriotycznych. Powstawała z tego wieża Babel, przedmiot śmiechu obcych, której jednak nie będę próbowała tu oddać. Ponadto odwiedzały mnie niekiedy na dłużej lub krócej dwie czy trzy przyjaciółki; czasem też i ja składałam im wizyty.

Taki był nasz zwykły krąg towarzyski. Oczywiście zdarzały się przypadkowe wizyty „sąsiadów” mieszkających — zaledwie — o pięć

czy sześć mil od nas. Mogę wszakże zapewnić, że prowadziłam życie dość samotne. Guwernantki ograniczały moją swobodę na tyle tylko, na ile rozsądne osoby mogły to robić wobec mocno rozpuszczonej dziewczyny, której jedyny spośród rodziców, ojciec, pozwalał nieomal na wszystko.

Opowiem teraz o pierwszym wydarzeniu w moim życiu, które w duszy mojej pozostało przerażające, nigdy właściwie nie zatarte piętno. Zdarzenie to miało miejsce tak dawno, że stanowi jedno z najwcześniejszych wspomnień, jakie zachowałam w pamięci. Ktoś mógłby uznać je za tak błahe, że niewarte wzmianki, z czasem jednak wyjaśni się, dlaczego wspomni- nam tu o nim. Wielki pokój dziecinny, który zajmowałam sama, mieścił się na najwyższym piętrze zamku, pod wysokim dębowym stropem. Mogłam mieć wówczas nie więcej niż sześć lat. Pewnej nocy obudziłam się, a rozglądając wokół, nie dostrzegłam dziewczyny służącej. Nie było również niani. Uświadomiłam sobie, że jestem sama. Nie przestraszyłam się, należałam bowiem do tych szczęśliwych dzieci, którym rozmyślnie oszczędza się opowieści o duchach, bajek i tego wszystkiego, co sprawia, że gdy nagle zaskrzypią drzwi czy gasnąca świeca zamigoce, rzucając cień baldachimu łoża na ścianę, tuż przy twarzy, natychmiast chowamy głowę pod kołdrę. Byłam zła i obrażona widząc, że tak mnie zaniedbano, i zaczęłam pochlipywać, by za chwilę wybuchnąć głośnym płaczem. Nagle, ku swemu zdumieniu, tuż przy sobie ujrzałam spoglądającą ku mnie poważną, lecz piękną twarz. Przy mym postaniu klęczała młoda kobieta z dłońmi ukrytymi pod kołdrą. Patrzyłam na nią z uczuciem miłego zaskoczenia i przestałam popłakiwać. Dama pogłaskała mnie, po czym ułożyła się obok na łożu i uśmiechając się przyciągnęła mnie ku sobie. Natychmiast ogarnęło mnie błogie ukojenie i ponownie zapadłam w sen. Obudziło mnie uczucie, jak gdyby w pierś wbijały mi się dwie igły. Krzyknęłam głośno. Dama zerwała się i z utkwionym we mnie wzrokiem osunęła się na podłogę i — jak mi się wydawało — skryła pod łożem.

Teraz dopiero ogarnęło mnie przerażenie. Zaczęłam krzyczeć z całych sił. Dziewczyna służąca, niania, ochmistrzyni — wszystkie naraz wbiegły do pokoju. Usłyszawszy moją opowieść, starały się ją zbagatelizować, uspokajając mnie zarazem, jak tylko mogły. Jednakowoż, choć byłam jeszcze dzieckiem, dostrzegłam malujący się na ich pobladłych twarzach głęboki niepokój, którego nie potrafiły

ukryć. Widziałam, jak zaglądały pod łoża i stoły, przeszukują cały pokój, otwierają szafy, a ochmistrzyni szepnęła do niani: — Dotknij tego zagłębienia na posłaniu: ktoś tu leżał jak amen w pacierzu, to miejsce jest jeszcze ciepłe.

Pamiętam, że dziewczyna służąca pieściła mnie, a wszystkie trzy oglądały miejsce na piersi, gdzie, jak im powiedziałam, poczułam ukłucie. Orzekły wszystkie, iż nie mogą do-strzec niczego, co mogłoby potwierdzić prawdziwość mojej opowieści.

Ochmistrzyni i obie służące mające na pieczy dziecinnym pokój zostały ze mną przez całą noc. Od owej chwili aż do czternastego roku życia w pokoju dziecinnym każdej nocy czuwała służąca.

Po wydarzeniu tym przez długi czas nie mogłam dojść do siebie. Zawezwano doktora. Był to blady, starszy pan. Doskonale pamiętam jego pociągłą, smutną twarz z widocznymi śladami ospy i rudawą perukę. Przez długi czas pojawiał się on co drugi dzień i dawał mi lekarstwo, którego, rzecz jasna, nie znosiłam.

Pierwszego ranka po ujrzeniu owej zjawy byłam tak przerażona, że mimo białego dnia ani przez moment nie mogłam znieść samotności.

Przyszedł ojciec, stanął przy łożu i wesoło ze mną rozmawiał. Wypytywał też nianię; pamiętam, jak wesoło się roześmiał, słysząc którąś z jej odpowiedzi. Przypominam sobie, że poklepał mnie po ramieniu i pocałował mówiąc, żebym się nie bała, że był to tylko sen i że nic złego się nie stało.

Nie uspokoiło mnie to jednak. Wiedziałam z całą pewnością, że odwiedziny dziwnej kobiety nie były snem i wciąż przeraźliwie się bałam.

Uspokoili mnie nieco zapewnienia dziewczyny służącej, że to ona weszła do pokoju i położyła się koło mnie, ja zaś, w półśnie, nie poznałam jej. Ale opowieść ta, choć potwierdzona przez nianię, nie usunęła w pełni mego niepokoju.

Pamiętam, że tego samego dnia wraz z nianią i z ochmistrzynią wszedł do pokoju dostojny starzec w czarnej sutannie. Porozmawiał krótko z nami, a potem bardzo serdecznie ze mną; miał łagodną i miłą twarz. Powiedział, że będziemy się modlić, złożył mi ręce i kazał powtarzać: „Boże, usłysz nasze modlitwy, przez Chrystusa, Pana naszego.” Wydaje mi się, że tak właśnie brzmiały te słowa, później bowiem często je powtarzałam. Również niania przez wiele lat kazała

mi odmawiać je w czasie pacierza.

Do dziś pamiętam zamyśloną, łagodną twarz starca w czarnej sutannie. Stoi w ponurym, wysokim, brązowym pokoju, wśród ciężkich mebli o kształtach modnych przed trzystu laty, w półcieniu, słabo tylko rozświetlonym skąpym światłem wpadającym przez małą, kolorową szybkę. Potem klęka wraz z trzema kobietami i przez długą — jak mi się wówczas wydawało — chwilę żarliwie odmawia modlitwy donośnym, drżącym głosem.

Nie pamiętam niczego, co miało miejsce w moim życiu przed tym wydarzeniem, a tak-że przez pewien czas po nim. Tylko opisane tu sceny stoją mi w pamięci jak żywe. Oderwane obrazy — niczym fantasmagoria w otaczającej je ciemności.

Pragnę teraz opowiedzieć coś tak osobliwego, że aby dać wiarę mej relacji, potrzebne będzie wielkie zaufanie do mojej prawdomówności. A jednak opowiadam tu o wydarzeniach nie tylko prawdziwych, lecz takich, których byłam naocznym świadkiem.

Pewnego łagodnego letniego wieczoru ojciec poprosił mnie, jak się to czasem zdarzało, bym towarzyszyła mu w przechadzce po owej pięknej leśnej polanie rozciągającej się przed naszym zamkiem.

— Generał Spielsdorf nie przybędzie do nas tak szybko, jak się spodziewałem — odezwał się po pewnej chwili ojciec.

Generał miał nam złożyć parotygodniową wizytę. Spodziewaliśmy się jego przybycia nazajutrz. Miał ze sobą przywieźć swą siostrzenicę i podopieczną, pannę Rheinfeldt. Nie miałam dotąd sposobności jej poznać, słyszałam jednak, że jest czarująca, i wiele sobie obiecywałam po dniach, które spędzić miałam w jej towarzystwie. Odczułam zawód, którego młoda dziewczyna mieszkająca w mieście, przyzwyczajona do liczego towarzystwa, nie zdoła sobie nawet wyobrazić. O wizycie tej bowiem i o nowej znajomości marzyłam od wielu tygodni.

— A kiedy będzie mógł przyjechać? — zapytałam.

— Nie wcześniej niż jesienią. I sądzę, że nie na dwa miesiące — odparł ojciec. — Cieszę się bardzo, kochanie, że nie zdażyłaś poznać panny Rheinfeldt.

— Dlaczegoż to? — zapytałam zdumiona.

— Ponieważ biedactwo nie żyje — odparł. — Zupełnie zapomniałem, że nie mówiłem ci o tym, ale nie było cię w pokoju dziś

wieczór, gdy otrzymałem list generała.

Byłam wstrząśnięta. W poprzednim liście sprzed sześciu czy siedmiu tygodni generał Spielsdorf wspominał, że jego siostrzenica nie czuje się tak, jak mógłby sobie tego życzyć, nic jednak nie nasuwało najłżejszego podejrzenia o niebezpieczeństwie.

— Oto list — rzekł ojciec, wręczając mi zapisany arkusz papieru. — Obawiam się, że generał doznał poważnego wstrząsu. List zdaje się być pisany w całkowitej rozterce.

Usiedliśmy na prostej ławeczce w cieniu majestatycznych lip. Słońce w całej swej owianej smutkiem wspaniałości zachodziło za horyzont zarysowany linią lasu, a strumień płynący koło domu i pod stromo sklepionym starym mostem, wijący się wśród kęp sędziwych drzew, niemal tuż u naszych stóp, iskrzył się, odbijając w swych falach gasnący szkarłat nie-ba. List generała Spielsdorfa był tak niezwykły, gwałtowny, miejscami tak pełen sprzeczności, że przeczytałam go dwa razy — drugi raz głośno memu ojcu - ale wciąż nie mogłam go pojąć. Najwyraźniej nieszczęście odebrało autorowi pełnię władz umysłowych.

List brzmiał tak:

*„Straciłem me najdroższe dziecko! Kochałem ją wszak jak córkę. W ciągu ostatnich kilku dni jej choroby nie byłem w stanie pisać do pana. Wcześniej nie miałem pojęcia o groźnym jej niebezpieczeństwie. Straciłem ją. Teraz zrozumiałem wszystko — zbyt późno. Odeszła w pokoju, niewinna, ufna w blask wieczystej chwały. Wszystko to sprawił zły duch, który nadużył naszej ślepej gościnności. Myślałem, że przyjmuję do domu niewinność, młodość, czarującą towarzyszkę dla mej utraconej Berty. Wielkie nieba! Jakimże byłem głupcem! Dziękuję Bogu, że dziecko me umarło, nie podejrzewając źródła swych cierpień Odeszła, nie domyślając się nawet przyczyny choroby i przekłetej namiętności rządzącej osobą, która stała się źródłem całej niedoli. Wszystkie dni życia, jakie mi jeszcze pozostały, poświęcę na odszukanie i zniszczenie potwora. Powiedziano mi, że mogę mieć nadzieję na osiągnięcie sprawiedliwego i godnego celu. Na razie widzę przed sobą zaledwie nikły promień światła. Przeklinam moje zarozumiałe niedowiarstwo, godne pogardy urojenie wyższości, zaślepienie, upór — ale to wszystko za późno! W obecnym stanie trudno mi mówić czy pisać logicznie. Odchodzę od zmysłów, gdy tylko przyjdę nieco do siebie, chcę oddać się poszukiwaniom,*

*które mogą doprowadzić mnie aż do Wiednia. Któregoś dnia jesienią, a więc za dwa miesiące albo nawet wcześniej — jeśli dożyję — odwiedzę was, o ile tylko pan pozwoli. Opowiem wówczas to wszystko, czego dziś nie potrafię przelać na papier. Bądź zdrow i módl się za mnie, drogi przyjacielu”.*

Takimi słowy kończył się ów dziwny list. Choć nigdy nie widziałam Berty Rheinfeldt, te zaskakujące wiadomości wycisnęły mi łzy z oczu. Byłam wstrząśnięta, a równocześnie głęboko zawiedziona.

Słońce zaszło. Gdy oddawałam ojcu list generała, zapadł już zmrok.

Wieczór był przejrzysty i łagodny. Wracaliśmy z wolna, zastanawiając się, co też mogą znaczyć porywcze, chaotyczne zdania, które dopiero co odczytywałam.

Do biegnącej przed zamkiem drogi mieliśmy nieomal milę. Nim doszliśmy, na niebie rozblęsnął olśniewająco jasny księżyc. Przy zwodzonym moście spotkaliśmy madame Perro-don i mademoiselle de Lafontaine, które bez nakryć głowy wyszły rozkoszować się księżycową nocą.

Zbliżając się słyszeliśmy ich ożywione głosy. Na moście podeszliśmy do obu pań i zatrzymaliśmy się, by wraz z nimi podziwiać przepiękną scenerię.

Przed nami rozciągała się polana, którą dopiero co opuściliśmy. Wąska droga wiała się na lewo między kępami majestatycznych drzew, by zniknąć w gęstwinie lasu, na prawo zaś wspinała się na malowniczy mostek, przy którym widniały ruiny strzegącej go niegdyś wieży. Za mostkiem wznosiło się stromo zarośnięte drzewami wzgórze z majaczącymi na nim szarymi, pokrytymi bluszczem skałami. Nad równiną i łąkami snuły się, niczym dym, delikatne mgły, znacząc odległość przejrzystym welonem; tu i ówdzie można było dojrzeć przeblyskujący w blasku księżycyca strumień.

Trudno wręcz wyobrazić sobie piękniejszy, łagodniejszy krajobraz. Nowiny, które po-słyszałam, nasycaly go melancholią, nic jednak nie było w stanie zburzyć głębokiego spokoju, zaklętego piękna i poczucia nierzeczywistości tego obrazu.

Ojciec mój, czuły na piękno pejzażu, i ja w milczeniu podziwialiśmy rozciągający się u naszych stóp krajobraz. Obie poczciwe guwernantki, stojące nieco z tyłu, rozwodziły się nad scenerią, a zwłaszcza księżycem.



Madame Perrodon, w średnim wieku, pulchna i romantyczna, przemawiała górnolotnie, nie szczędząc westchnień. Mademoiselle de Lafontaine może po ojcu, Niemcu, odziedziczyła skłonność do metafizyki i psychologii z przymieszką mistycyzmu. Oznajmiła teraz, że jest rzeczą wiadomą, iż tak intensywny blask księżyca oznacza szczególne ożywienie sił spirytu-alnych. Działanie pełni o tak jasnym blasku jest wielorakie. Oddziałuje na sny, mąci zmysły, działa na ludzi nerwowych, ma przedziwny wpływ na życie. Mademoiselle przytoczyła histo-rię swego kuzyna, marynarza, który pewnej nocy zasnął na pokładzie statku handlowego z twarzą wystawioną do księżycowego światła. Śniło mu się, że stara kobieta chwyta go paznokciami za policzek; obudził się z przerażająco wykrzywioną twarzą, która nie odzyskała już nigdy dawnego wyglądu.

— Taki księżyc jak dzisiaj — ciągnęła dalej mademoiselle — ma silne działanie idylli-czne i magnetyczne. Spójrzcie zresztą za siebie. Patrzcie! Widzicie, jak wszystkie okna za-mku rozbłyskują i migoczą srebrnym blaskiem, jak gdyby niewidzialne dłonie zapaliły świa-tło w pokojach na przyjęcie zaklętych gości?

Bywają takie stany ducha, gdy nie mamy ochoty na rozmowę, z przyjemnością jednak odbieramy dobiegające nas strzępy rozmów cudzych; stałam zapatrzona, a dochodzące mnie odgłosy rozmowy obu pań mile brzmiały mi w uszach.

— Znów ogarnia mnie przygnębienie — odezwał się mój ojciec, przerywając milczenie cytatem z Szekspira, którego zwykł był głośno czytywać, by pielęgnować naszą angielszczyznę. Zadeklamował:

*Prawdziwie nie wiem, dlaczegom tak smutny  
I siebie, i was, jak mówicie, nudzę;  
Ale jak na mnie spadła ta tęsknota,  
Z czego się składa, jak się wywodziła,  
Sam nie wiem dotąd. \**

— Zapomniałem, jak dalej. Mam jednak takie uczucie, jakby zawisło nad nami jakieś wielkie nieszczęście. Przypuszczam, że sprawił to ów pełen udreki list biednego generała.

W tym momencie uwagę naszą przykuł nieoczekiwany turkot kół powozu i tętent wielu podków na drodze.

Najwidoczniej ktoś nadjeżdżał od strony wzniesienia górującego

nad mostkiem. Rze-czywiście, wkrótce na szczycie wzgórza ukazała się kawalkada. Najpierw przez most przeje-chali dwaj jeźdźcy, potem zaprzężona w czwórkę koni kareta, na koniec znowu dwaj konni.

Orszak taki należeć musiał do jakiejś znacznej osobistości, toteż niecodzienne widowi-sko przykuło naszą uwagę. Za moment stało się jeszcze bardziej zajmujące; gdy tylko bo-wiem powóz minął szczyt stromo sklepionego mostu, jeden z cugantów spłoszył się, co udzie-liło się pozostałej trójce i po paru szarpnięciach cały zaprzęg ruszył dzikim galopem, wpadł między dwóch jadących przodem konnych i z prędkością huraganu popędził drogą w naszym kierunku.

Podniecenie spowodowane tą sceną pogłębiały jeszcze dobiegające z okna karety ostre, przeciągłe krzyki kobiece.

Przerażeni i zaciekawieni, podeszliśmy bliżej; ojciec w milczeniu, my trzy z okrzykami przestachu.

Napięcie nasze nie trwało długo. Tuż przed zwodzonym mostem, przy drodze, którą zbliżała się kareta, rośnie ogromna lipa, naprzeciw zaś niej stoi stary kamienny krzyż, na którego widok konie, mknące teraz przerażającym doprawdy pędem, skoczyły nagle w bok, kierując koło karety na wystające z ziemi korzenie drzewa.

Wiedziałam, co musi nastąpić. Nie mogąc patrzeć, zakryłam oczy i odwróciłam głowę; w tym samym momencie usłyszałam krzyk naszych dam, które tymczasem podeszły jeszcze nieco dalej.

Ciekawość zmusiła mnie do otwarcia oczu. To, co ujrzałam, przedstawiało obraz skraj-nego zamętu i chaosu. Dwa konie leżały na ziemi, kareta była przewrócona na bok, z dwoma kołami w powietrzu. Służba krzątała się, zdejmując uprząż. Władczo wyglądająca dama, która wydostała się z powozu, stała z boku zaciskając dłonie i raz po raz podnosząc do oczu chuste-

\* tłum. Leon Urlich

czkę. W tym momencie przez drzwiczki przewróconego powozu wydobyto młodą dziewczynę, która nie zdradzała oznak życia. Mój kochany stary ojciec z kapeluszem w dłoni był już obok, zapewne oferując swą pomoc i gościnę w zamku. Dama jednak zdawała się go nie sły-szeć, pochłonięta całkowicie widokiem szczupłej panienki, którą ułożono tymczasem na brze-gu strumienia.

Podeszłam do niej. Była najwyraźniej nieprzytomna, z pewnością jednak żyła. Ojciec mój, który szczyił się niejaką znajomością

wiedzy medycznej, trzymał już w palcach prze-gub jej ręki i zapewniał starszą damę — która oznajmiła, że jest matką panienki — iż puls, choć słaby i nieregularny, daje się jednak wyraźnie wyczuć. Dama klasnęła w dłonie i podnio-sła wzrok w jakby przez mgnienie oka trwającym geście wdzięczności, natychmiast jednak znów wybuchnęła scenicznym płaczem, który wszakże u pewnych ludzi jest — jak sądzę — całkiem naturalny.

Dama była kobietą jak na swoje lata przystojną; musiała być kiedyś bardzo piękna. Wysoka i postawna, ubrana w czarny aksamit, twarz miała bladą, o rysach dumnych i wład-czych, choć obecnie malowało się na niej dziwne poruszenie.

— Czyż zawsze prześladować mnie musi nieszczęście? — usłyszałam jej głos; podcho-dząc zobaczyłam, że dłonie ma zaciśnięte. — Oto jestem w podróży, od której zawisło życie lub śmierć. Strata jednej godziny oznaczać może utratę wszystkiego. Tymczasem dziecko mo-je jest w takim stanie, że nie sposób jej wziąć w dalszą drogę, która potrwać może nie wiado-mo jak długo. Muszę ją pozostawić; nie mogę, nie wolno mi zwlekać. Jak daleko stąd, panie, jest najbliższa osada? Muszę ją tam zostawić. Nie ujrzę mego biedactwa, nie usłyszę o niej nawet aż do czasu powrotu, a więc przez całe trzy miesiące.

Chwyciłam ojca za poły surduta, szepcząc mu żarliwie do ucha: — Och, ojcze, błagam! Poproś ją, niech zostawi córkę u nas — to byłoby cudowne, błagam cię, tato!

— Gdyby zechciała pani, madame, powierzyć swe dziecko trosce mojej córki i jej po-cziwej guwernantki, pani Perrodon, i pozwoliła, aby panienka ta jako nasz gość pozostała pod moją opieką do czasu powrotu pani, stanowiłoby to dla nas zaszczytny obowiązek. Będziemy się do niej odnosić z całym oddaniem i troskliwością, na jaką tak drogocenny skarb zasługuje.

— Nie mogę tego uczynić. Zbyt bezwzględnie nadużyłam pańskiej uprzejmości i pomo-cy — odezwała się dama roztargnionym głosem.

— Ależ wprost przeciwnie, stanowiłoby to dla nas ogromną radość, i to w chwili, gdy najbardziej jej potrzebujemy. Moją córkę spotkało właśnie bolesne rozczarowanie, oczekiwa-ła bowiem wizyty, po której od dawna wiele sobie obiecywała. Jeśli powierzyłaby pani tę młodą damę naszej opiece, byłaby to dla naszego dziecka

najwspanialsza pociecha. Najbliż-sza wioska na pani drodze jest daleko i nie ma w niej zajazdu, w którym mogłaby pani pozo-stawić swą córkę. W jej obecnym stanie nie można wszak narażać jej na niebezpieczeństwo dłuższej podróży. Jeśli — jak słyszę — przerwanie podróży jest niepodobieństwem, to dziś w nocy musisz się, pani, z córką rozstać, a nigdzie nie mogłabyś być pewniejsza opieki i względów, jakimi dziecko jej będzie otoczone niż tutaj.

W postawie nieznanym damy, w całej jej postaci było coś, co nakazywało szacunek, a sposób bycia miała tak ujmujący, że niezależnie od wspaniałości ekwipażu na każdym wy-wrząc musiała wrazenie osoby wielkiego znaczenia i pozycji.

W tym czasie powóz był znów postawiony na koła, a konie, już posłuszne, zaprzężone.

Dama rzuciła swej córce spojrzenie, w którym dojrzałam mniej tkliwości, niżby można było sądzić z tego, co rozegrało się wcześniej; następnie skinęła nieznacznie na mego ojca i odeszła z nim dwa czy trzy kroki, tak że nie słyszeliśmy ich rozmowy. Przemawiała ostro i zdecydowanie, w sposób zupełnie odmienny niż dotychczas.

Byłam niepomiernie zdziwiona, że ojciec mój zdawał się nie dostrzegać zmiany, a także nad wyraz ciekawa, o czym to mówiła mu, niemal wprost do ucha, tak porywczo i z taką powagą.

Poświęciła temu nie więcej niż dwie, trzy minuty i zawróciwszy, podeszła spieszenie do miejsca, gdzie spoczywała jej córka podtrzymywana przez madame Perrodon. Przyklękła obok, szepnęła jej coś do ucha — zdaniem madame Perrodon było to błogosławieństwo — i pospiesznie ucałowawszy ją, wsiadła do karety. Zatrzaśnięto drzwiczki, lokaje w okazałych liberjach skoczyli na schodki z tyłu, poprzedzający powóz jeźdźcy spięli konie, woźnice strzelili z batów i zaprzęg ruszył szaleńczym cwałem, który po chwili przeszedł w galop. Po-wóz odjechał pędem, a za nim z równą prędkością pomknęli dwaj jeźdźcy zamykający orszak.

Odprowadzaliśmy podróżnych wzrokiem, lecz rychło zniknęli nam z oczu w gęstwinie lasu; wkrótce też ucichł tętent kopyt i turkot kół.

Można by sądzić, że ulegliśmy halucynacji, gdyby nie młoda dziewczyna, która w tym właśnie momencie otworzyła oczy. Twarzy jej nie widziałam, gdyż siedziała tyłem do mnie, dostrzegłam jednak, jak

podniosła głowę, najwidoczniej rozglądając się wokół, i usłyszałam, jak dźwięcznym głosem, z nutą skargi zapytała:

— Gdzie mama?

Pocziwa madame Perrodon zwróciła się do niej, czule ją uspokajając.

I znów usłyszałam głos nieznajomej:

— Gdzie jestem? Co to za okolica? — A po chwili: — Nie widzę powozu. Gdzie wszy-scy odjechali?

Madame starała się jej odpowiadać na tyle, na ile potrafiła, i stopniowo młoda dama przypomniała sobie, jak doszło do wypadku. Ucieszyła się też wyraźnie na wiadomość, że prócz niej nikt z pasażerów powozu ani ze służby nie ucierpiał; lecz gdy dowiedziała się, że matka pozostawiła ją tu do czasu swego powrotu za trzy miesiące, wybuchnęła płaczem.

Chciałam i ja dołączyć kilka słów pociechy do tego, co mówiła madame Perrodon, ale mademoiselle de Lafontaine położyła mi dłoń na ramieniu mówiąc:

— Nie podchodź do niej, jeden rozmówca to dla niej aż nadto w jej obecnym stanie. Wszelkie wzruszenie mogłoby ją znów zbić z nóg.

„Gdy tylko spocznie bezpiecznie w łóżu — pomyślałam — pobiegnę złożyć jej wizytę”.

Tymczasem ojciec pchnął konnego sługę po lekarza, zamieszkałego o dwie mile; zarządził również, by przygotowano gościowi pokój.

Nieznajoma wstała i wsparta o ramię madame z wolna ruszyła przez zwodzony most ku bramie zamku. W hallu czekała służba i gościa zaprowadzono do jej pokoju.

Komnata, która zazwyczaj służyła nam jako salon, to podłużne pomieszczenie o czte-rech oknach wychodzących na łąkę, na most zwodzony i leśny pejzaż, który już opisywałam.

Na urządzenie jej składają się stare, w dębie rzeźbione meble, olbrzymie komody, krzesła obite szkarłatnym aksamitem z Utrechtu; ściany zdobią ujęte w wielkie złożone ramy gobeliny przedstawiające naturalnej wielkości postacie w dziwnych strojach z dawnych epok, w scenach polowań czy innych rozrywek. W tej to komnacie, urządzonej nie na tyle majestaty-cznie, by zatraciła ciepło i przytulność, siadywaliśmy przy herbacie, gdyż ojciec z właściwym sobie patriotyzmem nalegał, by obok kawy i czekolady pojawiał się na

naszym stole także i ten narodowy napój.

Tu też zasiedliśmy przy świecach, rozmawiając o wydarzeniu, którego byliśmy świadkami.

Madame Perrodon i mademoiselle de Lafontaine były z nami. Młoda dziewczyna, gdy tylko znalazła się w łóżku, głęboko zasnęła, toteż zostawiły ją pod opieką służby i zeszły na dół.

— Jak podoba się pani nasz gość? — spytałam madame, gdy tylko weszła. — Proszę mi wszystko o niej opowiedzieć.

— Spodobała mi się bardzo — odparła. — Wydaje mi się, że to najładniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widziałam. W tym wieku co panienka, i jaka miła, jaka subtelna!

— Jest prześliczna — dorzuciła mademoiselle, której na moment udało się zajrzeć do pokoju nieznajomej.

— A jaki miły ma głos — dodała madame Perrodon.

— Czy zauważyliście kobietę, która wychyliła się z powozu, gdy już stał na kołach, ale nie wysiadała, patrzyła tylko przez okno? — spytała mademoiselle.

— Nie, nie widziałyśmy jej.

Opisała więc wstrętą Murzynkę w czymś, co przypominało kolorowy turban, która cały czas wyglądała oknem, przypatrując się obu damom z szyderczym uśmiechem, błyskając białkami oczu i szczerząc zęby jak gdyby w grymasie wściekłości.

— A przyjrzałyście się ich służbie, która wyglądała na bandę zbirów? — spytała madame.

— O, tak — odparł ojciec, który właśnie wszedł do pokoju. — Paskudne, zakazane gęby, jakich w życiu nie widziałem. Mam nadzieję, że nie obrabują owej damy gdzieś w lesie. Ale swoją drogą chytre to były pachołki. Naprawili wszystko w mig!

— Wydaje mi się, że byli zmęczeni długą podróżą — odezwała się madame. — Prawda, że wyglądali na zbójów, a nadto mieli twarze dziwnie ciemne, zapadnięte i ponure. Muszę przyznać, że dręczy mnie ciekawość, ale mam nadzieję, że młoda pani sama nam wszystko opowie jutro rano, gdy tylko poczuje się lepiej.

— Nie sądzę — odezwał się ojciec z zagadkowym uśmiechem i pokręcił głową, jak gdyby wiedział dużo więcej, niż chce zdradzić. Tym bardziej zapragnęłam dowiedzieć się, co też zaszło między nim a damą w czerni w czasie owej krótkiej, ale pełnej napięcia wymiany zdań tuż przed jej odjazdem.

Ledwie znaleźliśmy się sami, zaczęłam usilnie nalegać, by mi wszystko opowiedział. Nie musiałam prosić długo.

— Nie widzę żadnego powodu, dla którego nie miałbym ci tego powiedzieć. Nieznajo-ma dama wzbraniała się obarczać nas troską o córkę powiadając, że jest ona nerwowa i słabe-go zdrowia, jakkolwiek — co stwierdziła wyraźnie — nie ulega żadnym atakom ani halucynacjom i jest zupełnie zdrowa na umyśle.

— Jakież to dziwne mówić takie rzeczy — wtrąciłam — przecież to zupełnie niepotrzebne.

— A jednak tak właśnie powiedziała — zaśmiał się ojciec. — A jeśli już chcesz wiedzieć wszystko, a jest tego naprawdę niewiele, powtórzę ci dosłownie. Powiedziała mianowicie: „Wyruszam w długą podróż w sprawach najwyższej wagi — wyraźnie podkreśliła to słowo — w podróż pilną a tajemną. Za trzy miesiące wrócę po córkę. Przez ten czas ona nie zdradzi, kim jesteśmy, skąd przybywamy i dokąd podróżujemy”. I to wszystko. Mówiła płynną francuszczyzną. Gdy wypowiedziała słowo „tajemny”, zamilkła na kilka sekund, wpatrując się we mnie z napięciem. Wydaje się, że bardzo zależy jej na tajemnicy. Widziałas zresztą, jak szybko odjechała. Mam nadzieję, że nie popełniłem jakiegoś głupstwa, podejmując się opieki nad tą dziewczyną.

Co do mnie, byłam uszczęśliwiona. Tęskniłam do chwili, w której ją zobaczę; czekałam tylko na zezwolenie doktora. Wy, mieszkańcy miast, nie macie pojęcia, jak wielkim wydarzeniem jest pojawienie się nowej, nieznaney osoby na takim pustkowiu.

Doktor przyjechał dopiero o pierwszej w nocy, ale udać się na spoczynek byłoby mi naprawdę równie trudno, jak prześcignąć powóz, którym odjechała dama w czerni.

Lekarz zszedł wreszcie do salonu, przynosząc pocieszające wiadomości o stanie pacjentki. Mogła już usiąść, puls miała regularny i wydawała się zupełnie zdrowa. Nie odniosła żadnych obrażeń, a niewielki szok nerwowy minął bez śladu; nic nie stoi na przeszkodzie, bym złożyła jej wizytę, jeśli tylko obydwie mamy na to ochotę. Mając takie zezwolenie, niezwłocznie poszłam na górę z zapytaniem, czy nieznajoma zgadza się, bym na krótko przyszła do jej pokoju.

Służąca wróciła zaraz, oznajmiając, że młoda dama pragnie tego z całego serca.

Nie muszę dodawać, że natychmiast z zaproszenia tego skorzystałam.

Nieznajoma leżała w komnacie należącej do najpiękniejszych w zamku, choć może na-zbyt majestatycznej. Naprzeciw nóg łoża wisiał mroczny gobelin przedstawiający Kleopatę ze żmiją na łonie; nie mniej poważne klasyczne sceny dojrzeć było można na splewiałych tkaninach rozwieszonych na pozostałych ścianach. Ale złocenia i żywe kolory innych ozdób aż nadto wynagradzały ponury nastrój starych gobelinów.

Przy łożu stały świece. Dziewczyna siedziała wyprostowana, jej szczupłe, piękne ciało otulał miękki, jedwabny strój nocny haftowany w kwiaty, lamowany grubym, pikowanym atłasem, którym matka okryła jej stopy, gdy leżała na ziemi.

Ale cóż to takiego zaparło mi oddech w piersi i kazało cofnąć się o krok czy dwa, zaledwie podeszłam do łóżka i wymówiłam pierwsze słowa powitania? Zaraz opowiem.

Otóż ujrzałam tę samą twarz, która nawiedziła mnie nocą w dzieciństwie i która tak utkwiała mi w pamięci, iż często samo jej wspomnienie obezwładniało mnie grozą, kiedy nikt nie podejrzewał nawet, o czym myślę.

Twarz ta była ładna, nawet piękna; gdy ujrzałam ją po raz pierwszy, malował się na niej ten sam wyraz smutku. Niemal natychmiast jednak rozjaśnił ją dziwny, pełen napięcia uśmiech mówiący, że nieznajoma poznaje mnie.

Całą minutę trwała cisza, którą wreszcie przerwała ona; ja nie byłabym w stanie.

— Ależ to cudowne! Przed dwunastu laty widziałam pani twarz we śnie i to wspomnienie prześladowało mnie od tego czasu bezustannie.

— W rzeczy samej cudowne! — powtórzyłam, z wysiłkiem przewyciężając przerażenie, które przed chwilą dławiło mi głos. — I ja z całą pewnością widziałam panią, we śnie lub na jawie, dwanaście lat temu. Nie mogłam zapomnieć pani twarzy, do dziś mam ją w oczach.

Uśmiech jej złagodniał. To, co wydawało mi się w nim dziwne, zniknęło, pozostał jedy-nie wdzięk i wyraz inteligencji, a na policzkach ukazały się dołeczki.

Uspokoiliam się więc i pośpieszyłam ze słowami powitania, jakie



nakazywała gościn-ność. Opowiedziałam jej też, jaką radość sprawiło nam wszystkim jej przypadkowe zjawienie się i jak bardzo ja sama z niego się cieszę. Wśród rozmowy ujęłam ją za rękę; jak wszyscy ludzie samotni, byłam trochę nieśmiała, sytuacja natchnęła mnie jednak niezwykłą pewnością siebie. Odpowiedziała mi uściskiem i przykryła moją dłoń swoją, a oczy jej zabłyśły, gdy rzucając mi pospieszne spojrzenie, uśmiechnęła się znów i spłonęła rumieńcem.

Bardzo wytwornie odpowiedziała na me powitanie, a gdy ja, wciąż jeszcze nieco oszo-łomiona, siadłam obok niej, zaczęła mówić:

— Opowiem ci mój sen o sobie. Jakież to niezwykle, że obie śniłyśmy się sobie tak wyraźnie, że obydwie, ty mnie, a ja ciebie, widziałyśmy takimi, jakimi jesteśmy dziś, choć przecież byłyśmy wtedy małymi dziećmi. Ja miałam wówczas sześć lat. Obudziłam się z niespokojnego, dręczącego snu w komnacie niczym nie przypominającej mego dzieciennego pokoju. Ściany były wyłożone ciemną boazerią, stały tam szafy, łóżka, krzesła i ławy. Wszystkie łoża zdawały się być puste, a w pokoju nie było oprócz mnie nikogo. Przez chwilę rozglądałam się, podziwiając zwłaszcza żelazny dwuramienny świecznik, który bez wątpienia poznałabym i dziś, po czym wśliznęłam się pod jedno z łóżek, chcąc się przedostać do okna. Ale wydostając się spod łoża usłyszałam czyjś płacz i, wciąż jeszcze na klęczkach, podniósłszy wzrok, ujrzałam ciebie — niewątpliwie ciebie — tak, jak widzę cię teraz: piękną młodą dziewczynę o złotych włosach i dużych niebieskich oczach, i ustach takich właśnie jak twoje. Spodobałaś mi się niezwykle. Wspięłam się na łóżko i zarzuciłam ci ramiona na szyję, a potem, jak mi się zdaje, obie zasnęłyśmy. Obudził mnie krzyk. Siedziałaś na łóżku, płacząc. Przestraszyłam się, zsunęłam na ziemię i chyba straciłam na chwilę przytomność. Gdy ją odzyskałam, byłam znów w mym dzieciennym pokoju. Twoją twarz zapamiętałam na zawsze. To nie może być tylko podobieństwo; jesteś niewątpliwie tą samą dziewczyną, którą wówczas ujrzałam.

Teraz z kolei ja opowiedziałam swoje widzenie, ku niekłamanemu zdumieniu mej nowej znajomej.

— Nie wiem, która z nas powinna bardziej obawiać się drugiej — odezwała się z uśmiechem, gdy tylko skończyłam. — Co do mnie, przypuszczam, że gdybyś nie była tak piękna, bałabym się ciebie. Lecz skoro jesteś taka, jaka jesteś, skoro obie jesteśmy tak młode,

wolę po prostu wierzyć, że poznałam się już przed dwunastu laty i stąd mam prawo do twojej przyjaźni. Tak czy inaczej wydaje się, iż to przeznaczenie chce, byśmy się zaprzyjaźniły. Chciałabym bardzo wiedzieć, czy i ty czujesz tę osobliwą moc, która mnie tak ku tobie przyciąga? Nie miałam nigdy przyjaciółki. Czyżbym ją teraz znalazła?

Westchnęła, a jej czarne, piękne oczy wpiły się we mnie. By rzecz prawdę, i ja czułam niepojęty pociąg ku pięknej nieznajomej. Odczuwałam działanie owej „osobliwej mocy”, ale jednocześnie coś mnie od niej odpychało. Jednak w tym chaosie uczuć pociąg zdecydowanie przeważał. Nieznajoma zaciekała mnie i podbiła; była tak piękna, tak nieopisanie ujmująca!

W tym jednak momencie ujrzałam, że ogarnia ją dziwna apatia i wyczerpanie, pożegnałam się więc pośpiesznie.

— Lekarz uważa — dodałam — że ktoś powinien zostać przy tobie na noc. Jedna ze służących już czeka; przekonasz się, że jest spokojna i bardzo użyteczna.

— Jestem wam wielce zobowiązana, jednakże nie mogłabym zasnąć; nigdy nie potrafiłam spać, gdy ktoś był ze mną w pokoju. Nie będę potrzebowała żadnych usług. Co więcej, przyznam ci się, że straszliwie lękam się bandytów. Nasz dom obrabowano kiedyś, mordując dwoje służby; od tego czasu zawsze zamykam drzwi na klucz. Weszło mi to w nawyk; jesteś tak miła, że na pewno mi to wybaczysz. Nawet widzę, że klucz jest w zamku.

Ujęła mnie mocno w swe kształtne ramiona, przyciągnęła ku sobie i szepnęła do ucha: — Dobranoc, najmilsza, tak trudno się z tobą rozstać, ale dobranoc. Jutro rano, choć nie na-zbyt wcześnie, ujrzę cię znów.

Z westchnieniem opadła na poduszki, odprowadzając mnie do drzwi wzrokiem pełnym czułości i smutku; szepnęła przy tym: — Dobranoc, dobranoc, moja droga przyjaciółko.

U młodych ludzi sympatia, a nawet miłość pojawia się nagle. Wyraźne, choć jak dotąd nie zasłużone uczucie okazywane mi przez nieznajomą schlebiało mi. Cieszyło mię zainteresowanie, jakim darzyła mnie od pierwszej chwili. Postanowiła już, że zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami.

Nadszedł następny dzień i spotkałyśmy się znowu. Byłam nową towarzyszką zachwyconą — w każdym razie pod wieloma względami.

Uroda jej nie straciła nic w świetle dnia. Była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałam, a niemiłe wspomnienie twarzy ujranej w dzieciennym śnie straciło znaczenie od chwili pierwszego niespodziewanego rozpoznania.

I ona wyznała, że zobaczywszy mnie przeżyła podobny wstrząs oraz lekką niechęć, zbliżoną do tej, która i u mnie splotła się z uczuciem gorącej ku niej sympatii. Teraz obydwie śmiałyśmy się z naszego minionego przerażenia.

Wspomniałam już, że u mej nowej przyjaciółki zachwycało mnie prawie wszystko.

Powiedziałam: „prawie wszystko”. Spróbuję to wyjaśnić. Zaczę od opisu.

Jak na kobietę była ona wzrostu więcej niż średniego. Była smukła i pełna wdzięku; z wyjątkiem pewnej powolności, zaiste niezwyklej powolności ruchów, nic w jej wyglądzie nie wskazywało, by była chora. Twarz o żywych kolorach, rysy drobne i kształtne, wielkie, cza-rne, błyszczące oczy i doprawdy wspaniałe włosy. Nigdy nie widziałam włosów tak gęstych i długich, kiedy rozpuszczała je na ramiona. Często unosiłam je w dłoniach i śmiejąc się podzi-wiałam ich ciężar. Były skończenie piękne, miękkie, w kolorze nasyczonego, ciemnego brązu ze złotym połyskiem. Lubiłam rozpuszczać je, patrząc, jak spadają na ramiona, splatać je i rozplatać, kiedy siadywałyśmy w jej pokoju: ona ułożona na fotelu, przemawiająca swym niskim, pełnym słodczy gło-sem, i ja przy niej, bawiąca się jej włosami. Boże! Gdybym wówczas wiedziała!

Wspomniałam, że nie wszystko w niej mi się podobało. Mówiłam, że ufność, jaką mi okazała pierwszego wieczora, podbiła mnie, wkrótce jednak zauważyłam, że w tym wszy-stkim, co dotyczy jej samej, matki, przeszłości, słowem we wszystkim, co miało jakikolwiek związek z jej życiem, planami czy bliskimi jej osobami, zachowywała zawsze czujną rezerwę.

Zapewne byłam nierozsądna, być może postępowałam źle. Może powinnam była respe-ktować dyskrecję, jaką dama w czerni wymogła na mym ojcu, lecz ciekawość to nie dająca się okiełznać, pozbawiona skrupułów namiętność; żadna dziewczyna nie zniesie cierpliwie, by wystawiano ją na taką próbę. Komuż mogłoby zaszkodzić, gdybym dowiedziała się tego, co tak bardzo chciałam wiedzieć? Czyżby ona

wątpiła w mój rozsądek i nie dowierzała memu słowu? Czemuż nie ufała mi, gdy zapewniałam ją, jakże uroczyście, że ani słowa z tego, co mi powie, nie zdradzę żadnej śmiertelnej istocie?

W smutnym uśmiechu, z którym niezmiennie odmawiała mi choćby najmniejszego promyka światła, był chłód nie licujący z jej młodzieńczym wiekiem.

Trudno powiedzieć, byśmy kłóciły się o to — wszakże ona w ogóle nie umiała się kłócić. Oczywiście ja ze swej strony byłam doprawdy nielojalna, wręcz źle wychowana, naci-skając ją do tego stopnia, ale doprawdy nie umiałam się opanować, choć z równym skutkiem mogłabym zaprzestać tych prób.

Wszystko, co mi powiedziała, było wobec mej zachłannej ciekawości niczym.

Sprowadzało się to do trzech niejasno sprecyzowanych wyznań: po pierwsze: na imię miała Carmilla; po drugie: pochodziła z wielkiego i starożytnego rodu; po trzecie — dom jej znajdował się gdzieś na Zachodzie. Nie zdradziła mi jednak ani nazwiska rodowego, ani herbu, ani nazwy swego zamku, ani nawet kraju, z jakiego pochodziła.

Nie znaczy to oczywiście, bym nieustannie dręczyła ją pytaniami. Przeciwnie, czekałam sposobności i raczej czyniłam aluzje, niż zadawałam pytania. Raz tylko czy dwa zapytałam ją wprost. Bez względu jednak na przyjętą taktykę rezultatem była niezmiennie całkowita klęska. Daremne były zarówno pieszczoty, jak słowa wyrzutu. Dodam wszakże, że odmowa pełna była zawsze takiego smutku, towarzyszyło jej tyle próśb o wybaczenie, tak namiętne zapewnienia o jej sympatii ku mnie, o zaufaniu, jakie pokłada w mym honorze, tyle obietnic, że i tak wszystkiego kiedyś się dowiem, że nie potrafiłam być długo urażona.

Zwykła była zarzucać mi swe śliczne ramiona na szyję, przyciągać ku sobie i dotykając swym policzkiem mego, szeptać do ucha: — Wiem, najdroższa, że ranię twe serduszko, ale nie uważaj mnie za okrutną dlatego, że posłuszna jestem nieodpartemu prawu, jakie dyktują mi ma siła i ma słabość. Jeśli twe serduszko jest zranione, moje złe serce krwawi wraz z nim. W upojeniu i niezmiernym poniżeniu żyję w tobie, twym gorącym życiem, a ty umrzesz, słodko umrzesz we mnie. Nie mogę temu zapobiec. Ja przyciągnę cię ku sobie, ty przyciągać będziesz innych; wtedy

poznasz upojenie okrucieństwem, które jest niczym innym jak miłością. Nie próbuj więc na razie wiedzieć więcej o mnie i mych sprawach, lecz zaufaj mi całym swym kochającym sercem.

Wygłosiwszy te wzniosłe słowa, przytuliła mnie silnej w drżącym uścisku, gorącymi pocałunkami delikatnie muskając mą twarz.

Jej wzruszenia i sensu słów nie byłam w stanie pojąć. Z takich dziwnych uścisków, które, muszę przyznać, nie zdarzały się zbyt często, usiłowałam się wyswobodzić, ale w momentach tych wydawało mi się, że opuszczają mnie siły. Wygłaszane szeptem słowa brzmiały mi w uszach jak kołysanka, opór przemieniał się w trans, z którego otrząsnąć się mogłam dopiero wtedy, gdy odsuwała się ode mnie.

W owych tajemniczych chwilach nie lubiłam jej. Odczuwałam wówczas dziwne, pełne niepokoju podniecenie, niewątpliwie przyjemne, łączące się jednak zawsze i niezmiennie z uczuciem strachu i odrazy. W czasie takich scen nie potrafiłam myśleć o niej wyraziście, byłam jednak świadoma uczucia miłości przeradzającego się w uwielbienie i nienawiści zarazem. Wiem, że to paradoks, nie potrafię jednak inaczej tego wyjaśnić.

Słowa te piszę po dziesięciu latach, drżącą ręką, mając w pamięci niepojęte i przerażające wypadki, których byłam nieświadomym uczestnikiem; jakże żywo zachowałam mimo to w pamięci główny nurt wydarzeń! Sądzę, iż w życiu każdego człowieka pełne napięcia stany, w których dochodzą do głosu nasze najgłębsze i najdziksze namiętności, we wspomnieniach pozostawiają ślad mało czytelny.

Zdarzało się nieraz, że po okresach apatii moja osobliwa i piękna towarzyszka ujmowała mą dłoń, ściskając ją przyjaźnie raz po raz; twarz jej nabierała kolorów, wpatrywała się we mnie błyszczącymi, pełnymi tęsknoty oczyma, jej pierś falowała szybkim, urywanym oddechem. Było w tym coś z namiętności kochanka. Onieśmialo mnie to i budziło niechęć, było jednak zniewalające. Wówczas przyciągała mnie ku sobie i wodziła gorącymi wargami po mych policzkach, szepcząc niemal ze szlochem: — Jesteś moja, będziesz moja, ty i ja należy-my do siebie na wieki. — Po czym nagle osuwała się na fotel, drobną dłonią zakrywała oczy, pozostawiając mnie całą drżącą.

— Czyżbyśmy były spokrewnione? — pytałam. — Co to wszystko znaczy? Czy przy-pominam ci kogoś, kogo kochałaś? Ale,

błagam, nie bądź taka, nie mogę tego znieść. Nie pojmuję cię, nie pojmuję nawet samej siebie, gdy tak mówisz i w ten sposób patrzysz na mnie.

Widząc me wzburzenie, odwracała się z głębokim westchnieniem, puszczając mą dłoń.

Na próżno starałam się zrozumieć, co znaczyć może to niezwykle zachowanie. W żaden sposób nie mogłam kłaść go na karb pozy czy też uważać za mistyfikację. Były to bez wątpienia wybuchy tłumionych instynktów i namiętności. Czyżby więc — wbrew samorzutnym za-przeczeniom matki — moja nowa znajoma doznawała jednak ataków obłądu? A może jest to maskarada, za którą kryje się jakaś romantyczna historia? Czytałam o takich rzeczach w sta-rych książkach. Możliwe wszak, że zakochany młodzieniec z pomocą starej, sprytnej intry-gantki dostał się w przebraniu do domu, by tu dalej prowadzić swą grę? Jednak, choć hipoteza taka nad wyraz schlebiała mej próżności, przemawiało przeciw niej zbyt wiele.

Nie mogłam poszczycić się najmniejszymi dowodami kurtuazji, tak chętnie świadczonej kobietom przez mężczyzn. Nadto wybuchy namiętności oddzielone były długimi okresami codziennych radości czy smutków, kiedy to, gdyby nie jej żarliwe, smutne, utkwione we mnie oczy, można by pomyśleć, że znaczyłam dla niej tyle co nic. Poza krótkimi chwilami tajemni-czego podniecenia jej sposób bycia był pełen dziewczęcego wdzięku, a ponadto cechowała ją pewna powolność ruchów, trudna do pogodzenia z właściwą mężczyznom energią.

Pod pewnymi względami zwyczaje jej były osobliwe. Może wy, mieszkańcy miast, nie dostrzeglibyście w nich niczego dziwnego, taka jednak była opinia wśród nas, ludzi ze wsi. Na dół schodziła zwykle bardzo późno, na ogół nie wcześniej niż o pierwszej po południu. Wypijała wówczas jedynie filiżankę czekolady i wychodziłyśmy na spacer, krótką przechadz-kę zaledwie, przy czym ona nużyła się niemal natychmiast i bądź powracała do zamku, bądź też siadała na którejś z ławek ustawionych tu i ówdzie pomiędzy drzewami. Było to osłabie-nie czysto fizyczne, w którym umysł jej nie brał udziału — mówiła z ożywieniem i bardzo inteligentnie.

Bywało, iż napomknęła o swym domu, wspomniała jakiś miniony wypadek bądź sytua-cję, opisując osobliwych ludzi i całkowicie nie znane nam obyczaje. Z tych przypadkowych uwag wywnioskowałam,

że pochodzi z kraju znacznie dalszego, niż początkowo sądziłam.

Gdy siedziałyśmy tak pewnego popołudnia w cieniu drzew, obok nas przeciągał kondukt żałobny. Chowano młodą, urodziwą dziewczynę, którą znałam z widzenia, córkę jedne-go z gajowych. Nieszczęsny ojciec szedł za trumną ukochanej jedynaczki; zdawało się, że serce ma zupełnie złamane. Za nim szli wieśniacy, parami, śpiewając żałobne pieśni.

Gdy mijali nas, wstałam i na znak szacunku dołączyłam swój głos do pieśni, którą tak pięknie śpiewali.

Moja towarzyszka szarpnęła mnie gwałtownie. Obejrzałam się zdumiona.

— Czyż nie słyszysz, jak oni fałszują? — powiedziała ostro.

— Bynajmniej, uważam, że śpiewają bardzo pięknie — odparłam zirytowana, że mi przerwano, a także niespokojna, że ludzie tworzący skromny orszak zauważą, co się stało, i poczują się dotknięci.

Podjęłam więc znów pieśń, lecz Carmilla przerwała mi po raz drugi.

— Uszy mnie bolą — rzekła niemal ze złością, zatykając je palcami. — Poza tym skąd wiesz, czy wyznajemy tę samą religię? Twoje zachowanie uraża mnie; nienawidzę pogrzebów. Tyle hałasu o nic! Przecież i ty musisz umrzeć, każdy musi umrzeć; wówczas dopiero jesteśmy naprawdę szczęśliwi. Chodź do domu!

— Mój ojciec miał być przecież na cmentarzu. Myślałam, że wiedziałaś, że ona umarła i że dziś będzie jej pogrzeb — odparłam.

— Ona? Nie wiem, kto to jest. Nie zawracam sobie głowy jakimiś chłopami — odezwała się Carmilla z płonącym wzrokiem.

— To ta biedna dziewczyna, która przed kilkunastoma dniami zobaczyła podobno zjawę i od tego czasu powoli konała, by wczoraj wyzionąć ducha.

— Nie mów mi o żadnych duchach, bo nie będę mogła w nocy zasnąć.

— Mam nadzieję, że nie nadciąga zaraza, choć wszystko na to wskazuje — ciągnęłam dalej. — Młoda żona pasterza do świń umarła ledwo przed tygodniem, a zdawało się jej, że w nocy coś ją schwyciło za gardło i niemal udusiło. Tatuś powiada, że tak straszliwe majaki towarzyszają niekiedy zarazie. Poprzedniego dnia czuła się całkiem dobrze, nazajutrz zachorowała, a po tygodniu już nie żyła.

— No, to przynajmniej jej pogrzeb mamy już za sobą; pieśni

odśpiewano, oszczędziwszy tortury naszym uszom. Nie znoszę tych fałszów i chłopskiej gwary. Zdenerwowałam się. Siądź tutaj, koło mnie, blisko, bliżej. Weź moją rękę, uściśnij, mocno...

Stałyśmy koło ławki nie opodal domu. Carmilla usiadła. Nagle zmieniła się do tego stopnia, że przez chwilę byłam niespokojna, a nawet przerażona. Twarz jej pociemniała i zsiniała; kurczowo zacisnęła dłonie, zagryzła wargi i drżąc jak w febrze utkwiała wzrok w ziemi, jakby skupiając wszystkie siły dla opanowania ataku, z którym zmagła się z całej mocy. Po chwili wydała stłumiony, bezwiedny jęk cierpienia; atak powoli mijał.

— Widzisz! Takie są skutki prześladowania ludzi żalobnymi pieśniami — odezwała się na koniec. — Potrzyj mnie, potrzyj mocno, to mija.

Atak rzeczywiście minął, a Carmilla, być może chcąc zatrzeć smutne wrażenie, jakie scena ta na mnie wywarła, stała się wyjątkowo rozmowna i ożywiona. Wróciłyśmy do domu.

Tego dnia po raz pierwszy dostrzegłam wyraźnie symptomy owej słabości zdrowia, o której wspominała jej matka. Po raz pierwszy też ujrzałam u niej przejawy czegoś, co można by nazwać „humorami”.

Wszystko to jednak minęło, jak letnie obłoki na pogodnym niebie, i nigdy już więcej nie byłam świadkiem oznak jej gniewu — z jednym wyjątkiem. Opowiem, jak do tego doszło.

Wyglądałyśmy właśnie przez jedno z wysokich okien salonu, kiedy na dziedzińcu, od strony zwodzonego mostu, ukazała się dobrze znana mi postać wędrownego sztukmistrza, który odwiedzał nas dwa razy do roku. Był to garbus o ostrych rysach twarzy, często towarzyszących temu kalectwu. Nosił szpiczastą czarną bródkę, a śmiejąc się od ucha do ucha, ukazywał białe kły. Odziany był w czarno-czerwone łachy, spod których przeświecała goła skóra. Na jego piersi krzyżowało się takie mnóstwo rzemyków i pasków, że nie mogłam się ich nigdy doliczyć, a z każdego z nich zwisały jakieś dziwne przedmioty. Na plecach nosił magiczną latarnię i dwie dobrze nam znane skrzynki — w jednej miał salamandrę, w drugiej mandragorę. Prowokowały one zawsze mego ojca do śmiechu, były to bowiem zlepki z różnych części ciała małp, jeźów, papug, wiewiórek, ryb, wysuszonych i starannie ze sobą połączonych. Dziwotałgi te wywierały ogromne wrażenie. Miał on nadto skrzypce, magiczną skrzynkę, parę floretów i maski zatknięte za pas, a także kilka innych



tajemniczych pudełek. W rękę dzierżył laskę z miedzianymi okuciami. Towarzyszył mu nieokreślonej rasy pies, który teraz szedł tuż za nim, na moście jednak podejrzliwie zatrzymał się i po chwili posepnie zawył.

Garbus tymczasem, stanąwszy pośrodku dziedzińca, uniósł śmieszny kapelusik i nad-zwyczaj ceremonialnie skłonił się, prawiąc nam z wielką swadą komplementy w kuchennej francuszczyźnie i niewiele lepszej niemczyźnie, po czym schwycił skrzypce i dobywając z nich skoczne nuty, jał śpiewać, zabawnie fałszując, i z zapalem tańczyć. Wszystko to roz-śmieszyło mnie serdecznie, mimo nieustannego wycia psa.

Skończywszy, wśród uśmiechów i ukłonów podszedł do okna, gdzie z kapeluszem w dłoni i skrzypcami pod pachą, płynnie, nie nabierając niemal powietrza w płuca, wygłosił obszerną pochwałę swych talentów oraz przeróżnych sztuczek i osobliwości, jakimi — jeśli tylko wyrazimy na to ochotę — może nas zabawić.

— Może jaśnie panienki zechcą kupić ode mnie amulet skuteczny przeciw upiorowi, który podobno niczym wilk grasuje w tych lasach — rzekł na koniec, zamiatając kapeluszem ziemię. — Na prawo i lewo ludzie giną za jego sprawą, a ja tymczasem mam tu amulet, który nigdy nie zawodzi. Wystarczy przypiąć to do poduszki i można śmiać mu się w twarz.

Amulet ów był to cienki pasek pergaminu pokryty kabalistycznymi znakami i cyframi.

Carmilla natychmiast kupiła jeden, a ja drugi. Garbus spoglądał ku nam z dołu, a my patrzyłyśmy nań ze śmiechem, rozbawione; w każdym razie ja na pewno. Gdy patrzył tak na nas, coś na moment przykuło uwagę jego czarnych przenikliwych oczu.

W jednej chwili wyciągnął skórzaną torbę pełną dziwnych stalowych narzędzi.

— Spójrz tylko, panienko! — rzekł do mnie, wskazując na nie. — Wśród wielu mniej pożytecznych rzemiosł, którymi się param, jestem też biegły w sztuce dentystycznej. Zaraza na tego psa! — przerwał. — Cicho, bestio! Wyje tak, że jaśnie panienki nie słyszą ani słowa. Wasza szlachetna przyjaciółka, dama stojąca po waszej prawej ręce, ma bardzo ostry ząb: dłu-gi, cienki, szpiczasty jak szydło. Cha, cha! Bystry mam wzrok i patrząc z dołu, dostrzegłem to wyraźnie. Jeśli więc przeszkadza on młodej panience, a jak mi się zdaje, musi

przeszkadzać, jestem do usług; oto moje narzędzia — szczypce, pilnik i dłutka. Jeśli panienska pozwoli, ząbek będzie zaraz zaokrąglony i przytępiony, jak przystało tak młodej i ślicznej osobie. Cóż to? Panienska się gniewa? Czyżbym był zbyt śmiały? Czyżbym ją obraził?

Panienska rzeczywiście wyglądała na wściekłą, kiedy cofnęła się od okna.

— Jak ten garbus śmie tak nas obrażać! Gdzie twój ojciec? Zażadam, żeby dał mu na-uczkę. M ó j ojciec kazałby go przywiązać do pompy, wychłostać bykowcem i napiętnować rozpalonym żelazem!

Cofnęła się od okna krok czy dwa, usiadła i zaledwie straciła z oczu winowajcę, gniew jej minął równie szybko, jak wybuchnął. Po chwili odzyskała równowagę i zdawało się, że nie pamięta już małego garbuska i głupstw, jakie wygadywał.

Tegoż wieczora ojciec, wytracony z równowagi, opowiedział nam, że znów zdarzył się wypadek podobny do tych dwóch, które ostatnio zakończyły się tak tragicznie. Siostra młode-go wieśniaka z jego dóbr, mieszkająca zaledwie o milę, ciężko zachorowała, zaatakowana — jak twierdzi — niemal w ten sam sposób, i teraz powoli kona.

— Wszystko to — stwierdził jednak — da się wytłumaczyć w zupełnie naturalny sposób. Biedni ci ludzie zarażają się nawzajem przesadami. Wyobraźnia ich tworzy te same przerażające wizje, które nawiedzały ich sąsiadów.

— Ale już to samo napawa grozą — odezwała się Carmilla.

— Jak to? — zapytał ojciec.

— Sama myśl o tym, że takie wizje mogłyby mnie nawiedzić, przeraża mnie śmiertelnie.

— Wszystko jest w ręku Boga, nic nie może zdarzyć się bez Jego przyzwolenia i nic złego nie spotka tych, co Go miłują. On nas stworzył, On powołał do życia, pod Jego opieką jesteśmy bezpieczni!

— Stwórca! N a t u r a! — zawołała Carmilla. — Wszak choroba nękająca kraj także w naturze ma swoje źródła. Wszystko ma swój początek w naturze, nieprawdaż? Wszystkie stworzenia w niebie, na ziemi i pod ziemią żyją i działają zgodnie z jej prawami. Tak mi się przynajmniej zdaje.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwał ojciec: — Doktor powiedział, że przyjedzie tu dzisiaj. Chciałbym wiedzieć, co on o tym

wszystkim sądzi i co jego zdaniem powinniśmy zrobić.

— Nigdy dotychczas lekarze nie pomogli mi — powiedziała Carmilla.

— Byłaś więc kiedyś chora? — zapytałam.

— Ciężej niż ktokolwiek — odparła.

— Dawno temu?

— Tak, bardzo dawno. Cierpiałam na tę właśnie chorobę. Zapomniałam już wszystko prócz bólu i słabości, lżejszych zresztą niż cierpienia, których doświadczałam w innych chorobach.

— Musiałaś być wtedy bardzo młoda?

— Owszem. Ale nie mówmy już o tym. Nie chcesz przecież sprawić bólu przyjaciółce? — Spojrzała mi czule w oczy, objęła ramieniem i wyprowadziła z pokoju. Ojciec przeglądał jakieś papiery pod oknem.

— Czemu twój ojciec tak nas nastraszył? — spytała Carmilla. z westchnieniem i lekkim dreszczem.

— Ależ Carmillo! To ostatnia rzecz, którą chciałby zrobić!

— Czy boisz się, najdroższa? — spytała.

— Bałabym się bardzo, gdybym przypuszczała, że może mi grozić to, co spotkało tych biednych ludzi.

— Bałabyś się umrzeć?

— Oczywiście, każdy się boi.

— Lecz umrzeć tak, jak kochankowie — umrzeć razem, by potem razem żyć? Życie dziewczyny na tym świecie to żywot gąsienicy, co z nadejściem lata zmieni się w motyla. Lecz zanim się to stanie, skrepowana swymi potrzebami, przyzwyczajeniami, swą naturą, jest tylko poczwarką, larwą. Czyż tego nie widzisz? Tak zresztą twierdzi monsieur Buffon w owej wielkiej księdze w sąsiednim pokoju.

Wieczorem przyjechał doktor i na jakiś czas zamknął się sam na sam z ojcem. Był to biegły w swym fachu, sześćdziesięcioletni człowiek w peruce, z twarzą wygoloną gładko jak dynia. Z pokoju wyszli razem. Tatuś śmiał się; słyszałam, jak mówił:

— No cóż, dziwię się panu, człowiekowi tak mądrymu. A cóż pan powie o wilkołakach czy smokach?

Doktor uśmiechnął się i odrzekł, kręcąc głową:

— A jednak życie i śmierć to stany tajemnicze. Jakże mało o nich wiemy!

Rozmawiając tak, przeszli dalej i nie posłyszałam już nic więcej.

Wówczas nie rozumiałam, o czym doktor mówił. Dziś wydaje mi się, że wiem.

Tegoż wieczora przyjechał do nas z Grazu jednokonnym wózkiem, załadowanym dwiema wielkimi skrzyniami pełnymi malowideł, syn odnawiacza obrazów, poważny młody człowiek o ciemnej twarzy. Była to dziesięćmilowa podróż i zawsze, gdy ktoś przyjeżdżał z naszej lokalnej stolicy, zbieraliśmy się wszyscy w hallu, wypyując o nowiny.

Odwiedziny te w naszym zamkniętym małym światku stanowiły nie lada sensację. Skrzynie zostały w hallu, posłańcem zajęła się służba, biorąc go na kolację. Następnie wraz z pomocnikami, uzbrojony w młotek, dłuto i śrubokręt, pojawił się znów w hallu, gdzie zebraliśmy się wszyscy, by być świadkami otwierania skrzyń.

Carmilla siedziała apatyczna, gdy odnowione stare obrazy, przeważnie portrety, jeden po drugim ukazywały się, wyciągane ze skrzyń. Matka moja pochodziła ze starej węgierskiej rodziny i większość obrazów, które obecnie miały wrócić na swoje miejsce, trafiła do zamku za jej sprawą.

Ojciec miał w ręku spis, z którego wyczytywał kolejne numery, a artysta odszukiwał w skrzyniach odpowiadające im obrazy. Nie wiem, czy było to dobre malarstwo, na pewno jednak obrazy te były bardzo stare, a niektóre też bez wątpienia ciekawe. Ponadto większość z nich widziałam właściwie po raz pierwszy, poprzednio bowiem były niemal zupełnie zatarte przez dym, kurz i czas.

— Jest tu jeden obraz, którego treści dotychczas nigdy nie widziałem — powiedział ojciec. — W górnym rogu, o ile się nie mylę, jest wypisane nazwisko: „Marcia Karnstein”; jest także data: 1698; ciekaw jestem, jak on wygląda.

Pamiętałam ten obraz. Było to niewielkie malowidło, wysokie na półtorej stopy, niemal kwadratowe, bez ramy, tak jednak pociemniałe, że nie mogłam rozpoznać, co przedstawiało.

Artysta zaprezentował je teraz z wyraźną dumą. Był to obraz doprawdy piękny; zadziwiał, zdawał się niemal żyć. Ale co najciekawsze - była to podobizna Carmilli!

— Carmillo, kochanie, spójrz! Ależ to cud! To przecież ty! Żywa, uśmiechnięta, jakbyś chciała coś powiedzieć. Tatusiu, czyż to nie wspaniałe? Popatrz! Widać nawet maleńką plamkę na szyi!

Ojciec uśmiechnął się i rzekł: — Podobieństwo jest doprawdy

niezwykłe. — Ku memu zdziwieniu jednak nie uderzyło go to zbyt mocno, odwrócił się bowiem i zaczął rozmowę z odnawiaczem, który będąc na swój sposób artystą, ze znajomością rzeczy opowiadał o obrazach, które dzięki jego sztuce znów nabrały życia i kolorów. Ja natomiast, im dłużej wpatrywałam się w obraz, tym bardziej byłam zdumiona.

— Czy pozwolisz mi zawiesić go u siebie, ojcze? — poprosiłam.

— Oczywiście, kochanie — odparł z uśmiechem. — Cieszę się, że widzisz to podobieństwo. Jest widocznie piękniejszy, niż przypuszczałem.

Carmilla zdawała się nie zwracać uwagi na te komplementy, wydawało się, że w ogóle ich nie słyszy. Swymi pięknymi oczyma spoglądała na mnie spod przymkniętych powiek i w zamyśleniu uśmiechała się, jakby w ekstazie.

— Teraz dopiero widać napis w rogu — powiedziałam. — Popatrz, Carmillo, to nie Marcia. Litery są chyba złote, a imię brzmi: Mircalla hrabianka Karnstein; nad napisem jest mała korona, a pod nią data: A. D. 1698. Pochodzę z rodu Karnsteinów, moja matka nosiła to nazwisko.

— Aha — odezwała się nieobecny jakby głosem. — Ja także wywodzę się z tego rodu, choć to bardzo dalekie i bardzo stare pokrewieństwo. Czy jacyś Karnsteinowie żyją jeszcze?

— O ile wiem, nikt, kto by nosił to nazwisko. Ród ten wyginął w czasie jakichś zamieszek dawno temu. Ale ruiny zamku Karnsteinów leżą zaledwie o trzy mile stąd.

— Jakież to ciekawe — odrzekła, wciąż owym dziwnym głosem. — Lecz spójrz, jaki piękny księżyc! — Wyjrzała przez uchylone drzwi hallu. — Czy nie zechciałabyś się wybrać ze mną na przechadzkę, popatrzeć na drogę i rzeczkę?

— Jest dziś tak samo jak owej nocy, kiedy przybyłaś do nas — powiedziałam.

Carmilla, uśmiechnąwszy się westchnęła.

Potem wstała i objęte ramionami wyszłyśmy obie na dziedziniec. W milczeniu podszłyśmy wolno w stronę zwodzonego mostu, skąd rozpościerał się przepiękny widok.

— A więc myślałaś o owej nocy, której tu przybyłam? — szepnęła. — Czy cieszysz się, że jestem z tobą?

— Ogromnie, najdroższa — odparłam.

— I poprosiłaś o obraz, który, jak ci się wydaje, przedstawia mnie, żeby zawiesić go u siebie — szepnęła z westchnieniem, tuląc się do mnie mocniej, i wsparła głowę na mym ramieniu.

— Jesteś romantyczna, Carmillo — powiedziałam. — Gdy kiedyś opowiesz mi swą historię, na pewno będzie w niej jakaś wielka miłość.

Ucałowała mnie w milczeniu.

— Jestem pewna, Carmillo, że byłaś zakochana, a i teraz kryjesz w swym sercu jakieś uczucie.

— Nigdy nikogo nie kochałam i nigdy nie pokocham — szepnęła — nikogo prócz ciebie.

Jakże pięknie wyglądała w księżycowym blasku! Rzuciła mi dziwne, nieśmiałe spojrzenie i kryjąc twarz w mych włosach, westchnęła gwałtownie, jak gdyby tłumiąc szloch. Jej drżąca ręka wtuliła się w moją dłoń.

Czułam, jak miękka skóra jej policzka płonie tuż przy mej twarzy. — Kochana, kochana — szeptała — żyję w tobie, a moja miłość jest tak wielka, że cię zabije.

Wyrwałam się z jej uścisku.

Popatrzyła na mnie wzrokiem, z którego cały żar, całe napięcie uleciało; twarz jej była apatyczna, bez wyrazu.

— Czuję chłód w powietrzu — odezwała się sennym głosem. — Mam chyba dreszcze. Czyżbym zasnęła? Wracajmy, wracajmy prędko.

— Źle wyglądasz, Carmillo. Nie jest ci słabo? Będziesz musiała napić się wina.

— Chętnie, ale już mi trochę lepiej. Zaraz wszystko będzie w porządku. Daj mi wina — dodała, gdy podeszliśmy do drzwi. — Ale popatrzmy jeszcze przez chwilę. Może to po raz ostatni oglądam z tobą księżyc.

— Jak się czujesz, Carmillo? Czy naprawdę lepiej? — zapytałam.

Zaczęłam się nagle lękać, czy nie została porażona atakiem owej dziwnej choroby, która, jak powiadano, szalała w okolicy.

— Tatuś byłby ogromnie zmartwiony — powiedziałam — gdyby okazało się, że czując się źle, nic nam o tym nie mówisz. Mamy tu bardzo dobrego lekarza; znasz go — był dziś u tatusia.

— Wiem o tym. Wiem, jacy wszyscy jesteście dla mnie dobrzy, ale doprawdy, najdroższa, czuję się zupełnie dobrze. To nic

poważnego, to tylko lekkie osłabienie. Powiadają, że jestem delikatna. Trudno mi zdobyć się na wysiłek. Męczy mnie spacer łatwy dla trzyletniego dziecka. Czasami jeszcze i te mizerne siły mnie opuszczają i wówczas nadchodzi to, co ujrzałaś przed chwilą. Ale na szczęście z łatwością wracam do sił. W jednej chwili znów jestem sobą. Spójrz, już czuję się dobrze.

W rzeczy samej tak było. Rozmawialiśmy długo, Carmilla. była niezwykle ożywiona. Owego wieczoru nie wracałam już do tego, co nazywałam przyływami jej namiętności. Mam tu na myśli jej szalone słowa i spojrzenia, które przyprawiały mnie o zakłopotanie, a nawet przestraszyć.

Tejże nocy jednak wydarzyło się coś, co skierowało me myśli na zupełnie nowe tory, a nawet, jak się wydaje, wstrząsnęło Carmillą, na krótko pobudzając jej zwykle uspijoną energię.

Wróciliśmy do salonu; podano nam kawę i czekoladę, a Carmilla, choć nie tknęła napojów, zdawała się znów być sobą. Madame i mademoiselle de Lafontaine przysiadły się do nas z kartami i grałyśmy właśnie, gdy do pokoju wszedł ojciec na swą, jak mawiał, „obowiązkową herbatkę”.

Gdy gra dobiegła końca, usiadł on na kanapie obok Carmilli i z nutą niepokoju w głosie zapytał ją, czy od czasu przybycia tu miała jakieś wiadomości od matki. Gdy zaprzeczyła, spytał, czy nie wie, gdzie można by ją listownie odnaleźć.

— Nie mogę powiedzieć — odparła dwuznacznie. — Myślałam jednak o wyjeździe; zbyt już nadużyłam pańskiej dobroci i gościnności. Sprawiałam panu już dosyć kłopotu, myślałam więc, by wynająć jutro powóz i ruszyć w ślad za matką. Wiem, gdzie ostatecznie będę ją mogła odszukać, choć na razie muszę o tym milczeć.

— Ależ nie wolno ci nawet myśleć o czymś takim — wykrzyknął ojciec ku mej uldze. — Nie chcemy cię stracić, nie pozwolę, byś nas opuściła, chyba że pod opieką matki, której życzeniem było, abyś pozostała u nas do jej powrotu. Cieszyłbym się bardzo, gdybym wiedział, że miałaś od niej jakieś wiadomości. Wieści o postępach owej tajemniczej choroby grającej w naszej okolicy są coraz bardziej alarmujące, zrozum więc, nasza piękna przyjaciółko, że nie mając żadnych wskazówek od twej matki, czuję na sobie ciężkie brzemie

odpowie-działności. Zrobię jednak wszystko, co będzie w mej mocy. Jedno jest pewne: nie możesz nas opuścić bez wyraźnego polecenia matki. Zbyt bolesne byłoby to dla nas rozstanie, byśmy tak lekko mogli wyrazić na nie zgodę.

— Stokrotne dzięki za pańską gościnność — odparła Carmilla, uśmiechając się zmieszana. — Jesteście dla mnie wszyscy tak dobrzy! Rzadko byłam w życiu tak szczęśliwa, jak w tym pięknym zamku, pod pana opieką i w towarzystwie pańskiej uroczej córki.

Na te słowa ojciec, staromodnym obyczajem, złożył na jej dłoni pocałunek i uśmiechnął się przy tym, wyraźnie ucieszony jej słowami.

Jak zwykle, udałyśmy się z Carmillą na górę, do jej pokoju, gdzie rozmawiałyśmy, podczas gdy ona przygotowywała się do spoczynku.

— Jak myślisz — zapytałam po chwili — czy kiedyś zaufasz mi w pełni?

Zwróciła się ku mnie z uśmiechem. Milczała jednak, choć uśmiech nie schodził jej z twarzy.

— Wiem, nie odpowiesz, bo nie możesz odpowiedzieć po mej myśli. Nie powinnam cię była pytać.

— Ależ możesz mnie pytać o wszystko. Kocham cię tak bardzo, że nie powinnam mieć przed tobą żadnych tajemnic. Wiąże mnie jednak przysięga, surowsza niż śluby zakonne, nie ośmielę się więc zdradzić mej historii, nawet tobie. Ale wkrótce nadejdzie czas, gdy o wszy-stkim się dowiesz. Będziesz mnie uważała za okrutną, za samolubną, ale miłość jest zawsze zaborcza — im jest gorętsza, tym bardziej zachłanna. Czyż nie widzisz, jaka jestem o ciebie zazdrosna? Musisz pójść ze mną, aż do kresu, do śmierci, kochając mnie. Albo nienawidząc. Ale musisz pójść za mną, nienawidząc w godzinie śmierci i potem. Mimo że z pozoru jestem beznamiętna, nie znam słowa obojętność.

— Przestań, Carmillo, znów wpadasz w szaleństwo — wtrąciłam pośpiesznie.

— Wiem, że jestem głupią, niemądrą dziewczyną, kapryśną i pełną humorów, dla ciebie jednak spróbuję mówić jak mędrzec. Czy byłaś kiedyś na balu?

— Nie, skąd ci to przyszło do głowy? Jak to się odbywa? To musi być cudowne!

— Już prawie zapomniałam, tak dawno to było.

— Przecież jesteś jeszcze bardzo młoda — roześmiałam się. —



Nie mogłaś zapomnieć swego pierwszego balu.

— Przypominam go sobie... z trudem... Widzę to wszystko jak nurek spoglądający z głębin na powierzchnię wody, poprzez gęstą, falującą, a jednak przezroczystą zasłonę. To owa noc sprawiła, że obraz zatarł się, kolory zbladły. Nieomal zamordowano mnie w łóżku, raniono mnie tu — dotknęła ręką piersi — i od tego czasu nigdy nie byłam już sobą.

— Byłaś bliska śmierci?

— O tak, bardzo bliska. Okrutna, dziwna miłość pozbawiła mnie życia. Miłość wymaga ofiar. Nie ma ofiar bezkrwawych. Czuję się taka słaba. Jakże teraz wstanę, by zamknąć za tobą drzwi?

Leżała z głową na poduszce, drobne dłonie zatopiła w swych wspaniałych, falujących włosach i oparła na nich policzek. Nie spuszczała ze mnie błyszczących oczu, a na ustach jej igrał nieśmiały, tajemniczy uśmiech.

Życzyłam jej dobrej nocy i wyśliznęłam się z pokoju, niespokojna.

Często zastanawiałam się, czy moja piękna przyjaciółka kiedykolwiek modli się. Nie widziałam jej nigdy na klęczkach. Rano schodziła na dół zawsze bardzo późno, długo po zakończeniu rodzinnych modłów, wieczorami zaś nigdy nie wychodziła z salonu, by uczestniczyć w krótkiej modlitwie, którą odmawialiśmy w hallu.

Gdyby nie jakaś jej przypadkowa uwaga, z której wynikało, że była ochrzczona, wątpiłabym, czy jest chrześcijanką. Religia była tematem, którego nigdy w rozmowie nie wspominała. Gdybym lepiej znała świat, ta szczególna obojętność czy niechęć nie zdziwiłaby mnie może tak bardzo.

Nawyki ludzi nerwowych bywają zaraźliwe; osoby o podobnym temperamencie po jakimś czasie zaczynają się naśladować. Nabiwszy sobie głowę opowiadaniem Carmilli o nocnych intruzach i skradających się mordercach, zaczęłam jej wzorem zamykać nocą drzwi od mego pokoju na klucz. Zaczęłam także przed położeniem się przeszukiwać pokój i sprawdzać, czy w którymś kącie nie czai się ukryty morderca.

Dopełniwszy tych środków ostrożności, położyłam się do łóżka i zasnęłam. W pobliżu paliło się światło. Był to mój dawny, z czasów dzieciństwa wywodzący się zwyczaj, od którego żadną miarą nie umiałabym odstąpić.

Dopiero w taki sposób zabezpieczona mogłam spokojnie spać. Sny jednak potrafią prze-nikać ściany, rozświetlać ciemność, wygaszać światło, ich postacie wchodzą i wychodzą bez przeszkód, drwiąc sobie z zamków i skobli.

Tej nocy miałam sen, który stał się początkiem przeżyć będących źródłem osobliwej udręki. Nie mogę nazwać go majakiem, byłam bowiem w pełni świadoma, że śpię. Ale wiedziałam jednocześnie, że jestem w swym pokoju, że leżę w łóżu — dokładnie tak, jak rzecz się miała w rzeczywistości. Widziałam, czy też śniłam, że widzę pokój i sprzęty dokładnie tak, jak pamiętałam je zasypiając, z tym tylko, że było ciemno. Nagle ujrzałam, że koło nóg łóżka porusza się coś, czego w pierwszej chwili nie mogłam rozpoznać. Wkrótce jednak dostrzegłam, że jest to czarne jak sadza zwierzę podobne do olbrzymiego kota. Wydało mi się, że jest długie na cztery do pięciu stóp — w pewnej chwili przesłoniło cały dywanik przed kominkiem. Chodziło z kąta w kąt, ze złowrogim niepokojem zwierzęcia w klatce. Nie mogłam dobyć głosu, by krzyknąć, choć możecie sobie wyobrazić, jak byłam przerażona. Stworzenie przyspieszyło kroku, a w pokoju zrobiło się jeszcze ciemniej, tak ciemno, że na koniec widziałam tylko jego ślepią. Poczułam, że lekkim skokiem znalazło się na łóżku. Ogromne oczy zbliżyły się ku mej twarzy i nagle uczułam piekący ból, jakby dwie wielkie igły, o cal czy dwa od siebie odległe, głęboko wbiły mi się w pierś. Obudziłam się z krzykiem. W pokoju było jasno, a świeca paliła się tak jak przez całą noc. W nogach łóża, nieco na prawo, ujrzałam kobiecą postać w ciemnej, luźnej szacie, z rozpuszczonymi na ramiona włosami. Stała jak wykuta z kamienia, bez śladu oddechu. Gdy patrzyłam tak na nią, wydało mi się, że postać zmieniła miejsce: była teraz bliżej drzwi, po chwili tuż przy nich — drzwi otworzyły się i postać zniknęła.

Napięcie ustąpiło. Mogłam odetchnąć, poruszyć się. W pierwszej chwili pomyślałam, że to Carmilla postanowiła urządzić mi kawał, a ja zapomniałam zamknąć drzwi. Podbiegłam ku nim, lecz zobaczyłam, że jak zwykle zamknięte są od wewnątrz na klucz. Bałam się je otworzyć — poraził mnie strach. Rzuciłam się na łóżko, ukryłam głowę w pościeli i tak, niczym martwa, przeleżałam do rana.

W żaden sposób nie zdołałabym opisać przerażenia, z jakim — do dziś jeszcze — wracam myślą do wydarzeń owej nocy. Nie był to przemijający niepokój, jaki pozostawia po sobie koszmarny sen.

Groza zdawała się rosnać z upływem czasu, strach krył się w zakamarkach pokoju, zastygł w sprzętach, wśród których pojawiła się zjawa.

Nazajutrz ani przez moment nie mogłam znieść samotności. Powinnam była opowiedzieć wszystko ojcu, milczałam jednak — z dwóch sprzecznych ze sobą powodów: obawiałam się, że wyśmiej mnie, a nie zniosłabym, by wydarzenie to potraktowano jak żart; z drugiej strony bałam się, że ojciec mógłby pomyśleć, że zaatakowana zostałam przez ową tajemniczą chorobę panującą w okolicy. Nie wierzyłam w to, ojciec jednak od pewnego czasu nie najlepiej się czuł, nie chciałam go więc niepokoić.

Wystarczająco dobrze czułam się w towarzystwie mych poczciwych opiekunek — madame Perrodon i wesołej mademoiselle de Lafontaine. Gdy spostrzegły, że jestem wytrącona z równowagi i zdenerwowana, wyznałam im na koniec wszystko, co tak ciężkim brzemieniem leżało mi na sercu.

Mademoiselle śmiała się, wydało mi się jednak, że madame Perrodon zdradza oznaki niepokoju.

— Jeśli już o tym mowa — powiedziała mademoiselle, śmiejąc się nadal — to długa lipowa aleja przed oknami Carmilli nawiedzana jest przez duchy!

— Bzdury, moja droga! — wykrzyknęła madame, która najwidoczniej uważała, że uwaga ta była w tej chwili nie na miejscu. — A któż to pani naopowiadał takich rzeczy?

— Martin powiada, że kiedy naprawiono starą bramę na dziedziniec, dwakroć wstawał przed wschodem słońca i widział postać kobiecą znikającą w głębi lipowej alei.

— I cóż w tym dziwnego, zważywszy, że na łąkach nad rzeką pasą się krowy, które trzeba doić — powiedziała madame.

— Nie wiem, ale Martin do dziś się boi; prawdę mówiąc, to nigdy nie widziałam kogoś tak wystraszonego.

— Niech pani, broń Boże, nie wspomina o tym Carmilli; z jej okna widać tę aleję, a ona jest jeszcze większym tchórzem niż ja — jeśli to w ogóle możliwe.

Tego dnia Carmilla. zeszła na dół jeszcze później niż zwykle.

— Tak się wystraszyłam w nocy — powiedziała, gdy tylko podeszła do nas. — Gdyby nie amulet kupiony od tego biednego garbuska, którego tak ostro zwymyślałam, na pewno zobaczyłabym

jeszcze straszniejsze rzeczy. Śniło mi się, że coś czarnego podeszło do łóżka. Obudziłam się przerażona i doprawdy przez parę sekund zdawało mi się, że jakaś ciemna postać czai się koło kominka. Ale sięgnęłam pod poduszkę i gdy tylko palcami wyczułam amulet, postać zniknęła. Jestem przekonana, że gdybym go nie miała, coś strasznego zjawiłoby się i chwyciło mnie za gardło, tak jak te biedne kobiety, o których tyle mówią.

— Posłuchaj, co mnie się wydarzyło — wtrąciłam i opowiedziałam jej moją przygodę. Carmilla zdawała się być przejęta grozą.

— A czy miałaś przy sobie amulet? — spytała z największą powagą.

— Nie, jest w porcelanowej wazie w salonie. Ale jeśli tak w niego wierzysz, tej nocy na pewno wezmę go z sobą.

Dziś, po tak długim czasie, nie umiem wytłumaczyć ani nawet zrozumieć, w jaki sposób udało mi się przewyciężyć lęk do tego stopnia, że odważyłam się spać tej nocy sama w po-koju. Pamiętam wyraźnie, że przypięłam amulet do poduszki. Zasnęłam niemal natychmiast i całą noc przespałam głęboko, lepiej nawet niż zwykle.

Następna noc minęła równie dobrze. Spałam wyjątkowo głęboko, bez żadnych sennych marzeń. Obudziłam się jednak z uczuciem znużenia i smutku, ale na tyle nieuchwytnym, że niemal sprawiało mi przyjemność.

— Czyż ci nie mówiłam — powiedziała Carmilla, gdy opisałam jej moją spokojną noc. — I ja także świetnie spałam zeszłej nocy. Amulet przypięłam do nocnej koszuli, na piersi. Tamta noc zdaje się tak odległa. Pewna jestem, że to wszystko było zjawą, złym snem. Kie-dyś myślałam, że senne koszmary to sprawa złego ducha, ale nasz doktor wytłumaczył mi, że to niemożliwe. To tylko zaraza — twierdził — albo inna choroba puka do drzwi, a nie mogąc wejść do środka, przechodzi, pozostawiając lęk.

— A czym jest, według ciebie, amulet? — zapytałam.

— Ten skrawek pergaminu musiał być nasycony jakimś lekarstwem i stanowi odtrutkę przeciw malarii — odparła.

— To znaczy, że działa tylko na ciało?

— Z całą pewnością. Nie przypuszczasz chyba, że złe duchy mogą obawiać się kawałka wstążki czy aptecznych zapachów. Unosząca się w powietrzu choroba atakuje nerwy i w ten sposób

zaraża mózg. Ale zanim zdąży cię chwycić, lekarstwo odpycha je. Pewna jestem, że tak właśnie działa amulet. Nie ma w tym żadnej magii, wszystko jest zupełnie naturalne.

Czułabym się lepiej, gdyby Carmilla zdołała całkowicie mnie przekonać, ale starałam się jej uwierzyć ze wszystkich sił i straszliwe wspomnienie straciło nieco na sile.

Przez kilka nocy spałam twardo, ale każdego ranka czułam owo znużenie i osłabienie utrzymujące się potem przez cały dzień. Czułam się jakby odmieniona. Owładnął mną dziwny smutek, z którego więzów nie próbowałam się wyzwolić. Zaczęły mnie nachodzić niejasne myśli o śmierci, z wolna opanowało mnie łagodne, na swój sposób przyjemne uczucie, że gdzieś się zapadam. Jeśli nawet był w tym smutek, towarzyszący mu nastrój był błogi i dusza moja pogodziła się z nim zupełnie.

Nie dopuszczałam myśli o chorobie, nie chciałam, by dowiedział się o tym ojciec ani by wzywano doktora.

Carmilla. była dla mnie serdeczniejsza niż zwykle, a jej osobliwe ataki marzycielskiego uwielbienia stawały się częstsze. Im bardziej opuszczały mnie siły ducha i ciała, z tym większym żarem zdawała się wpijać we mnie wzrok. Wstrząsało to mną zawsze niczym przebłysk obłędu.

Niczego nieświadoma, byłam we władaniu najdziwniejszej z chorób, jakich doświadczyć może śmiertelna istota. W jej pierwszych objawach tkwił jakiś nie dający się pojąć urok, który z nawiązką wynagradzał mi osłabienie będące jej skutkiem. Urok ten narastał czas jakiś, aż doszedł do punktu, w którym łączyć się z nim zaczęło uczucie grozy pogłębiające się tak dalece, że — jak później zobaczycie — potrafiło ono odmienić całe moje życie.

Pierwsza zmiana, jakiej doświadczyłam, była raczej przyjemna. Stanowiła ona jednak jakby punkt zwrotny, od którego zaczęło się powolne zstępowanie w otchłań.

W czasie snu doznawałam dziwnych i niejasnych odczuć. Wśród owych doznań domi-nował osobliwy, przyjemny zimny dreszcz, podobny temu, jaki odczuwamy, płynąc pod prąd rzeki. Po długim czasie towarzyszyć mu zaczęły nie mające, zdawało się, końca sny, tak jednak mgliste, że nigdy nie potrafiłam przypomnieć sobie ich scenerii, występujących w nich postaci ani też drobnego nawet fragmentu akcji. Skutki ich wszakże były straszliwe: pozosta-wiały po

sobie uczucie wyczerpania, jakbym długo pozostawała w stanie ogromnego napięcia myśli i w poczuciu niebezpieczeństwa. Zostawały wspomnienia całkowicie niemal ciemnego miejsca i rozmów z ludźmi, których nie mogłam dojrzeć. Szczególnie dobrze pamiętałam wyraźny, niski głos kobiecy dobiegający jakby z dużej odległości, który niezmiennie budził we mnie onieśmielenie i strach. Czasami odnosiłam wrażenie, jakby jakaś ręka muskała mnie po szyi i policzkach, jakby całowały mnie gorące usta, szczególnie długo i gorąco wpijając się w szyję, gdzie pieśczęta ustawała. Serce biło mi mocniej, oddech stawał się nierówny; dła-wiący szloch zmieniał się w spazm, w którym opuszczały mnie zmysły i traciłam przytomność.

Minęły trzy tygodnie od chwili, gdy owe niewytłumaczalne objawy wystąpiły po raz pierwszy. Cierpienia te nie pozostały bez wpływu na mą powierzchowność. Pobladałam, podkrażone oczy zdawały się większe, a osłabienie zaczęło wyraźnie odbijać się na mej twarzy.

Ojciec pytał często, czy nie jestem chora, ja jednak z uporem, który dziś wydaje mi się niepojęty, zapewniałam go, iż czuję się całkiem dobrze.

W pewnym sensie była to prawda. Nie bolało mnie nic i nie mogłam się skarżyć na jakiegokolwiek cielesne cierpienie. Dolegliwości me zdawały się płynąć z wyobraźni, ze stanu nerwów, i choć były dotkliwe, z chorobliwym lękiem nikomu się nie zwierzałam.

Nie mogło to być owo straszliwe zjawisko, które chłopci zwa wampirem, cierpiałam już bowiem od trzech tygodni, gdy tymczasem oni rzadko bywali chorzy dłużej niż trzy dni, po czym śmierć kładła kres ich mękom.

Carmilla. także skarżyła się na senne koszmary i chorobliwe stany, mniej jednak straszne niż moje cierpienia. Te bowiem w istocie rzeczy były zatrważające. Gdybym zdolna była w pełni pojąć swój stan, na kolanach błagałabym o radę i pomoc. Byłam jednak odurzona nar-kotykiem, którego siły nie podejrzewałam, i moja zdolność spostrzegania była sparaliżowana.

Opowiem teraz sen, który stał się przyczyną niesamowitego odkrycia.

Pewnej nocy zamiast głosu, który zwykłam była słyszeć w ciemności, usłyszałam inny, słodki i czuły, choć przejmujący dreszczem, który rzekł: „Matka ci mówi — strzeż się mor-dercy!” W

tym momencie rozbłysło niespodziewanie światło i ujrzałam Carmillę stojącą u nóg łoża w białej nocnej koszuli, od stóp do głów skapaną we krwi.

Obudziłam się z krzykiem, owładnięta myślą, że Carmillę zamordowano. Pamiętam, że wyskoczyłam z łóżka, pamiętam, że stałam na korytarzu, wzywając pomocy.

Madame i mademoiselle, zaalarmowane, wybiegły ze swoich pokojów. W korytarzu jak zawsze paliła się lampa, toteż ujrzały mnie niebawem i dowiedziały się o przyczynie mego przerażenia.

Nalegałam, by zastukać do drzwi Carmilli. Na nasze kołatanie nikt jednak nie odpowiedział. Zaczęłyśmy łomotać z całej siły, wykrzykiwałyśmy jej imię — na próżno.

Drzwi pozostawały zamknięte, a strach nasz narastał. W panice uciekłyśmy do mego pokoju. Długo, gwałtownie dzwoniłyśmy na służbę. Gdyby pokój ojca znajdował się w tym samym skrzydle zamku, bezzwłocznie wezwałybyśmy go na pomoc. Niestety! — nie mógł nas słyszeć, a dotarcie do niego byłoby wyprawą, na którą żadna z nas nie umiałaby się zdobyć.

Wkrótce jednak z dołu nadbiegła służba. Zarzuciłam na siebie szlafrok i włożyłam pan-tofle. Moje towarzyszki odziane były podobnie. Słyszając głosy służby na korytarzu, opuściłyśmy pokój. Po bezskutecznym dobijaniu się do drzwi Carmilli nakazałam mężczyznom wyważyć je. Uczynili to, a my, trzymając wysoko lampy, stanęłyśmy w progu, patrząc w głąb pokoju.

Wołałyśmy ją po imieniu, ale odpowiedzi nie było. Obszukałyśmy całą komnatę. Wszystko było na swoim miejscu, dokładnie tak, jak wieczorem, gdy życząc jej dobrej nocy, zostawiłam ją samą. Carmilla jednak zniknęła.

Widząc, że — pominiawszy nasze gwałtowne wtargnięcie — w pokoju panuje zupełny porządek, ochłonęłyśmy nieco i odzyskały przytomność na tyle, by odprawić mężczyzn. Mademoiselle wyraziła przypuszczenie, że być może Carmilla obudziła się, słysząc rumor przy drzwiach, i owładnięta nagłym przerażeniem wyskoczyła z łóżka, kryjąc się w szafie lub za zasłonami, skąd oczywiście nie mogła wyjść, dopóki zarządca zamku i jego pomocnicy nie wycofają się. Podjęłyśmy więc nowe poszukiwania, raz jeszcze nawołując ją po imieniu.

Ale i to nie przyniosło rezultatu. Nasz niepokój i wzburzenie

wzrosły od nowa. Oglądaliśmy dokładnie okna — były zamknięte. Błagałam Carmillę, żeby — jeśli się ukryła — wyszła, kończąc ten okrutny żart, i oszczędziła nam niepokoju. I to okazało się bezskuteczne. Teraz byłam już przekonana, że nie ma jej ani w pokoju, ani w garderobie, której drzwi wciąż były zamknięte na klucz z naszej strony, tak że nie mogła przez nie przejść. Tkwiła w tym jakaś tajemnica. Czyżby Carmilla odkryła jedno z owych sekretnych przejść, o których stara szafarka powiadała, że są w zamku na pewno, choć dokładne wiadomości o tym, gdzie się znajdują, zaginęły? Pozostało nam zatem jedynie wierzyć, że niebawem wyjaśni się wszystko, co teraz napawało nas takim przerażeniem.

Była czwarta nad ranem. Resztę nocy wolałam spędzić w pokoju madame. Świt nie przyniósł rozwiązania zagadki.

Następnego dnia wszyscy domownicy, z ojcem na czele, rzucili się do poszukiwań. Zamek został przetrząśnięty od piwnic po strych. Przeszukano okolicę. Nigdzie jednak nie trafiono na najmniejszy nawet ślad Carmilli. Chciano sondować rzekę. Ojciec był w rozterce — co powie matce biednej dziewczyny po jej powrocie? I ja odchodziłam niemal od zmy-słów, choć moja rozpacz z innych płynęła pobudek.

Ranek minął wśród trwogi i podniecenia. Nadeszła godzina pierwsza po południu i wciąż nie było żadnych wieści. Jeszcze raz pobiegłam do pokoju Carmilli, by tam... ujrzeć ją stojącą przy toalecie. Byłam zdumiona, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. W milczeniu skinęła na mnie swym pięknym paluszkiem, na jej twarzy malował się paniczny lęk.

Podbiegłam do niej uszczęśliwiona. Ścisnęłam ją i całowałam bez ustanku. Skoczyłam do dzwonka i zaczęłam gwałtownie nim szarpać, by przywołać kogoś, kto mógłby natych-miast uspokoić ojca.

— Carmillo, kochanie, co się z tobą działo przez ten cały czas? Umieraliśmy wszyscy z niepokoju o ciebie. Gdzie byłaś? Jak wróciłaś?

— Ta noc była nocą dziwów — odezwała się.

— Na miłość boską, powiedz wszystko, co wiesz!

— Było po drugiej, kiedy jak zwykle położyłam się spać. Drzwi od pokoju zamknęłam na klucz, podobnie jak drzwi od garderoby i na balkon. Spałam głęboko, o ile pamiętam, nic mi się nie śniło. I oto przed chwilą obudziłam się na kanapie w garderobie i zauważyłam, że



drzwi do pokoju są otwarte, zaś drzwi na korytarz wyważone. Jak to możliwe, że nie obudzi-łam się, gdy to wszystko tu się działo? Musiał to przecież być nie lada hałas, a ja budzę się szczególnie łatwo. Poza tym jakże to możliwe, by we śnie przeniesiono mnie z łóżka, mnie, którą budzi najmniejszy szelest?

Tymczasem w pokoju Carmilli zjawili się madame, mademoiselle, ojciec i kilkoro słu-żby. Zasypano oczywiście Carmillę pytaniami, gratulacjami i powitaniem. Nie dodała jednak niczego ponad to, czego ja dowiedziałam się wcześniej, i pośród nas wszystkich ona zdawała się ostatnią osobą zdolną w jakikolwiek sposób wyjaśnić to, co się wydarzyło.

Ojciec zaczął w zamyśleniu spacerować po pokoju. Spostrzegłam, jak przez moment Carmilla wodziła za nim przebiegłym, mrocznym spojrzeniem.

Gdy ojciec odesłał służbę, a mademoiselle udała się po walerianę i sole trzeźwiące, tak że w pokoju pozostaliśmy sami z madame, ojciec podszedł do Carmilli zatroskany, wziął ją delikatnie za rękę, podprowadził do kanapy i usiadł obok niej.

— Czy pozwolisz, drogie dziecko, że zaryzykuję pewne przypuszczenie i postawię ci pytanie?

— Któż miałby większe ku temu prawo niż pan — odparła. — Proszę pytać, o co tylko pan zechce, a na wszystko odpowiem. Niestety, wszystko, co pamiętam, to tylko zamęt i mrok. Nie wiem zupełnie nic. Proszę zadawać pytania. Zna pan przecież granice, których ma-ma nie pozwoliła mi przekroczyć.

— Oczywiście, drogie dziecko, nie potrzebuję jednak dotykać spraw, co do których ma-tka twoja zastrzegła milczenie. Wracając zaś do niezwykłego zjawiska: otóż dziwy ostatniej nocy polegały na tym, że przeniesiona zostałam z łóżka do pokoju nie budząc się, podczas gdy — jak się zdaje — okna i wszystkie drzwi twego pokoju zamknięte były od wewnątrz.

Carmilla siedziała, wsparta na dłoni, bezradnie. Madame i ja słuchałyśmy z zapartym tchem.

— A oto moje pytanie — ciągnął ojciec. — Czy kiedykolwiek byłaś podejrzana o chodzenie we śnie?

— Od czasów gdy byłam zupełnie małą, nigdy.

— A więc w dzieciństwie chodziłaś we śnie?

— Tak, podobno. Moja stara niania często mi o tym wspominała.

Ojciec uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Oto, co się wydarzyło: wstałaś we śnie, otwierałaś drzwi, nie zostawiając klucza w zamku jak zwykle, po czym zamknęłaś drzwi z zewnątrz, ponownie wyjęłaś klucz i wzięłaś go ze sobą, udając się do jednego z dwudziestu pięciu pokoiów na tym piętrze albo też na dół czy na górę. Jest tu tak wiele komnat, zakamarków, tyle ciężkich mebli i różnych gratów, że tydzień trwałoby dokładne przeszukanie całego domu. Rozumiesz, ku czemu zmierzam?

— Tak, choć niezupełnie — odparła.

— A jak wyjaśnisz, tatusiu — wtrąciłam — że Carmilla obudziła się na kanapie w garderobie, którą tak dokładnie przeszukałyśmy?

— Przyszła tam już po waszych poszukiwaniach, wciąż we śnie; na koniec obudziła się, równie zdziwiona tym, że się tam znajduje, jak my wszyscy. Chciałbym, Carmillo — dodał ze śmiechem — żeby wszystkie tajemnice dało się wytłumaczyć równie łatwo i niewinnie jak tę. Możemy się tylko cieszyć, że to najbardziej naturalne wyjaśnienie całego zajścia nie każe nam się uciekać do omamów, machinacji z zamkami, włamywaczy, trucicieli, czarownic, słowem do niczego, co mogłoby dać podstawy do przypuszczenia, iż cokolwiek zagraża Carmilli czy komukolwiek z nas.

Carmilla wyglądała czarująco. Twarz jej, mieniąca się żywymi kolorami, była piękna jak nigdy. Owa właściwa jej, pełna wdzięku powolność ruchów podkreślała jeszcze jej urodę. Ojciec musiał milcząco porównywać jej wygląd z moim, gdyż rzekł z westchnieniem:

— Ach, gdybyż moja biedna Laura znów wyglądała tak jak kiedyś!

Tak więc nasze obawy szczęśliwie się rozwiały, a Carmilla znalazła się znów wśród przyjaciół.

Carmilla. nie chciała słyszeć o tym, by ktokolwiek mógł być z nią w nocy w pokoju, toteż ojciec postanowił, że służba spać będzie tuż za drzwiami, tak by mogła natychmiast zatrzymać ją, jeśliby zechciała ponowić swą nocną wyprawę.

Noc minęła spokojnie, wczesnym zaś rankiem doktor, po którego ojciec posłał, nie mówiąc mi o tym ani słowa, przybył, by mnie zobaczyć.

Madame zaprowadziła mnie do biblioteki. Lekarz — poważny starszy pan w okularach, o którym już wspominałam — czekał tam,

by mnie zbadać.

Opowiedziałam mu wszystko; w miarę jak mówiłam, twarz jego zmieniała się, przybie-rając coraz poważniejszy wyraz.

Staliśmy we wnęce okiennej, naprzeciw siebie. Gdy skończyłam, wsparł się o ścianę i utkwił we mnie pełen zdumienia wzrok, w którym dostrzegłam przebłyski przerażenia.

Po chwili milczenia, spytał madame, czy mógłby zobaczyć się z moim ojcem.

Posłano po ojca. Wszedł uśmiechnięty, mówiąc od progu:

— Obawiam się, doktorze, że zwymyśla mnie pan od starych głupców. Mam nadzieję, że wzywałem pana niepotrzebnie.

Uśmiech znikł z jego twarzy, gdy doktor z wielką powagą przywołał go ku sobie skinie-niem.

Przez jakiś czas rozmawiali, stojąc w tej samej wnęce okiennej. Wymiana zdań zdawała się ożywiona i pełna napięcia. Biblioteka była ogromną komnatą. Stojąc w drugim jej końcu, obie z madame płonełyśmy z ciekawości. Nie słyszałyśmy jednak ani słowa, rozmawiali bowiem cicho, a ponadto głęboka wnęka skrywała zupełnie przed naszym wzrokiem doktora; dostrzec mogłyśmy jedynie stopę, dłoń i ramię mojego ojca. Przypuszczam też, że głosy ich tłumił załom grubego muru sprawiający, że wnęka przypominała małą skrytkę.

Po jakimś czasie ojciec wychylił się z ukrycia. Twarz jego była blada, malował się na niej wyraz zamyślenia i - jak mi się zdawało — wzburzenia.

— Lauro, kochanie, chodź tu na chwilę — zwrócił się do mnie. — Pani, madame, nie będziemy tymczasem kłopotać.

Podeszłam więc, po raz pierwszy trochę niespokojna; bo chociaż byłam bardzo osłabiona, nie czułam się chora, co zaś do sił, to wydaje nam się zawsze, że możemy je zebrać na zawołanie.

Gdy zbliżyłam się, ojciec wyciągnął ku mnie dłoń, ale patrzył wciąż na doktora. Ode-zwał się:

— To naprawdę bardzo dziwne, niezupełnie rozumiem to wszystko. Lauro, chodź tutaj, kochanie, podejdź do doktora Spielsberga i słuchaj uważnie.

— Wspominałaś pani, że owej nocy, kiedy to po raz pierwszy nawiedził cię ten straszny sen, odniosłaś wrażenie, jakby dwie igły wbiły ci się w szyję. Czy czujesz w tym miejscu jakiś ból?

— Bynajmniej — odparłam.

— A czy możesz wskazać palcem to miejsce?

— To było tu, nieco poniżej krtani.

Miałam na sobie sukienkę, której kołnierz zakrywał to właśnie miejsce.

— Przekona się pan sam — ciągnął dalej doktor. — Czy pozwolisz, moje dziecko, by tatuś rozchylił ci nieco suknię? Musimy zbadać znak niemocy, na którą cierpisz.

Zgodziłam się. Miejsce to ukryte było zaledwie cal czy dwa pod suknią.

— Boże mój! A więc to to! — wykrzyknął ojciec, blednąc.

— Zobaczył pan więc na własne oczy — powiedział doktor z nutą smutnego triumfu w głosie.

— Co to takiego? — wykrzyknęłam. Zaczynałam odczuwać lęk.

— Nic, drogie dziecko. Małeńka sina plamka, nie większa od paznokcia małego palca. A teraz — znów zwrócił się do ojca — musimy się zastanowić, co należy począć w tej sytuacji.

— Czy jest jakieś niebezpieczeństwo? — zapytałam, dygocząc.

— Mam nadzieję, że nie, droga panienko — odparł doktor. — Nie widzę powodu, dla którego nie miałybyś zacząć natychmiast zdrowieć. Czy w tym właśnie miejscu odczuwałaś owo uczucie dławienia?

— Tak — odparłam.

— A przypomnij sobie dobrze, czy nie z tego właśnie miejsca rozchodził się ten dreszcz, ten zimny prąd, o którym mi mówiłaś?

— Chyba tak, wydaje mi się, że tak.

— Sam pan widzi - zwrócił się znów do ojca. — Czy mógłbym zamienić teraz kilka, słów z madame?

— Oczywiście — zgodził się ojciec.

Doktor przywołał madame i rzekł do niej: — Stan zdrowia naszej młodej przyjaciółki nie jest bynajmniej zadowalający. Mam nadzieję, że wszystko skończy się dobrze, konieczne jest jednak podjęcie pewnych kroków, które z czasem wyjaśnię pani. Na razie jednak proszę, by ani na moment nie zostawiała pani, madame, panny Laury samej. Tymczasem nie mam więcej poleceń, jednak to jest absolutnie konieczne.

— Wiem, że możemy na pani polegać, madame — dodał ojciec. Madame zapewniła go o tym gorąco.

— Mam nadzieję, że i ty, Lauro, zastosujesz się dokładnie do wskazówek doktora.

— Chciałbym także zasięgnąć pańskiej porady — zwrócił się do doktora — w sprawie innej pacjentki, która zdradza objawy podobne nieco do tych, o których dowiedział się pan od mojej córki. Są one znacznie łagodniejsze, ale, jak sędzę, tego samego rodzaju. Myślę tu o owej młodej damie, którą gościmy. O ile wiem, zamierza pan wracać tędy dziś wieczorem. Niechże pan wstąpi do nas na kolację, a wówczas zobaczy pan ją. Nie schodzi ona na dół wcześniej niż po południu.

— Dziękuję panu — odparł doktor. — Będę u państwa około siódmej wieczorem.

Na koniec ojciec i doktor raz jeszcze powtórzyli swe zalecenia dla mnie i dla madame, po czym obaj wyszli, zostawiając nas same. Widziałam, jak pochłonięci ożywioną rozmową spacerują tam i z powrotem po trawniku rozciągającym się przed zamkiem między drogą a łąką.

Doktor nie wrócił już. Widziałam, jak dosiada konia i odjeżdża, kierując się na wschód, poprzez las. Niemal jednocześnie dostrzegłam, że z Dransfeld przybył człowiek z listami, zsiadł z konia i wręczył pakiet ojcu.

Obie z madame gubiłyśmy się w domysłach, starając się dociec sensu owego zalecenia udzielonego nam z takim naciskiem przez ojca i przez doktora. Madame, jak mi to później powiedziała, obawiała się, iż doktor przewidywał jakiś nagły atak, który, gdybym została bez opieki, mógł grozić niebezpieczeństwem memu życiu albo, w najlepszym wypadku, poważnym zranieniem.

Takie wyjaśnienie nie przyszło mi do głowy. Wyobrażałam sobie, zapewne z korzyścią dla mych nerwów, że celem tego zalecenia było jedynie zapewnienie mi towarzyski, która chroniłaby mnie przed zbyt dużym wysiłkiem, nie pozwalała jeść nie mytych owoców i dbała, bym nie zrobiła żadnej z tysiąca nierozsądnych rzeczy, do których, jak się sędzi, młodzi ludzie miewają skłonności.

Po pół godzinie do mego pokoju wszedł ojciec z listem w ręku.

— To spóźniony list od generała Spielsdorfa — rzekł. — Nasz przyjaciel mógł tu być już wczoraj, może zjawi się dzisiaj albo jutro.

Podał mi nie zaklejoną kopertę. Nie wydawał się być

zadowolony, jakim bywał zwykle, gdy miał przyjechać gość, zwłaszcza tak miły jak generał. Przeciwnie, wydawało się, jakby w najmniejszej mierze nie życzył sobie tej wizyty. Widać było wyraźnie, że umysł jego pochłonięty jest czymś, czego nie zamierza nam wyjawiać.

— Tatusiu drogi, czy powiesz mi wszystko? — odezwałam się nagle, kładąc mu dłoń na ramieniu i patrząc nań tak błagalnie, jak tylko umiałam.

— Być może — odparł, burząc mi pieśczośliwie dłonią włosy.

— Czy doktor uważa, że jestem bardzo chora?

— Nie, kochanie, doktor sądzi, że jeśli zostaną podjęte właściwe kroki, już za dzień lub za dwa będziesz zupełnie zdrowa, a w każdym razie na prostej drodze do zupełnego wyleczenia — odparł nieco oschle, po czym dodał: — Wołałbym, żeby nasz drogi generał wybrał inny czas na odwiedzin. To znaczy chciałbym, żebyś była zupełnie zdrowa, by go przyjąć.

— Ale powiedz mi, tatusiu — nalegałam — co doktor u mnie podejrzewa?

— Nic, nie dręcz mnie pytaniami — odparł z rozdrażnieniem w głosie, jakiego nigdy u niego nie zauważyłam. Ale widząc, że mnie uraził, ucałował mnie i dodał: — Za dzień lub dwa dowiesz się wszystkiego, w każdym razie wszystkiego tego, co ja wiem, a do tego czasu nie wolno ci się niczym martwić.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju, zanim jednak w pełni uświadomiłam sobie zagadkowość jego słów, był już z powrotem. Wrócił, by nam oznajmić, że wybiera się do posiadłości Karnsteinów, musi bowiem zobaczyć się z księdzem mieszkającym w pobliżu tej malowniczej miejscowości. Chciał, żebyśmy obie z madame towarzyszyły mu. Kazał zaprzęgać do powozu na dwunastą. Gdy Carmilla, która nigdy tam nie była, wstanie, może podążyć za nami z mademoiselle, która tymczasem przygotowuje wszystko, co potrzeba, do zaimprovizowanego pikniku, jaki urządzimy w zrujnowanym zamku.

O dwunastej byłam gotowa i wkrótce wraz z ojcem i madame ruszyliśmy w drogę. Przejechawszy zwodzony most, skęciliśmy w prawo i poprzez stromo sklepiony most gotycki skierowaliśmy się na zachód, ku opuszczonej wiosce i zrujnowanemu zamczysku Karnsteinów.

Trudno wręcz wyobrazić sobie piękniejszą leśną przejażdżkę.

Teren, którym jechali-śmy, łagodnie wznosi się i opada, a wzgórza i doliny porasta przepiękny bór, wolny od śla-dów owej sztuczności będącej zawsze wynikiem kultywacji i zabiegów leśnika.

Jechaliśmy terenem falistym, toteż droga często zbaczała, okrążając urwiska czy strome zbocza wzgórza, wijąc się uroczo w krajobrazie, którego różnorodność zdawała się niewyczerpana.

Za jednym z takich zakrętów nagle dostrzegliśmy zdołającego ku nam naszego starego przyjaciela, generała. Jechał konno w towarzystwie sługi, za nimi zaś podążał wynajęty wóz z bagażami.

Zatrzymaliśmy się, generał zsiadł z konia. Po zwykłych powitaniach z łatwością dał się namówić do zajęcia wolnego miejsca w powozie, zaś sługę z końmi odesłał do zamku.

Dziesięć miesięcy zaledwie minęło od czasu jego ostatniej u nas wizyty, jednak patrząc nań sądzić by można, że minęły całe lata. Schudł, miast zwykłej pogody i serdeczności na twarzy jego malowało się przygnębienie i niepokój. Jego ciemnobłękitne oczy, zawsze przemi-kliwe, teraz spoglądały surowo spod krzaczastych brwi. Sam smutek nie mógł tego sprawić; silniejsze namiętności zdawały się mieć w tym swój udział.

Ruszyliśmy i wkrótce generał z właściwą sobie żołnierską szczerością opowiadać nam zaczął o swym — jak to nazwał — osieroceniu po śmierci ukochanej siostrzenicy i podopiecznej; wkrótce wybuchnął i tonem bezmiernej goryczy i wściekłości pomstować zaczął przeciw „mocom piekielnym”, których padła ofiarą, i z rozdrażnieniem raczej niż z pobożnością wyrażał zdumienie, że niebiosy spokojnie patrzeć mogą na siły piekielne, tak jawnie zaspokajające swe ohydne żądze.

Ojciec mój, widząc od razu, że coś nadzwyczajnego musiało się wydarzyć, poprosił go, by zechciał — jeśli nie sprawi mu to zbyt wielkiego bólu — opisać nam dokładnie okoliczności usprawiedliwiające jego zdaniem słowa tak ostre.

— Rad bym wyznać wam wszystko — odparł generał — lecz nie dacie mi wiary.

— Dlaczegoż miałbym wątpić w pańskie słowa, generale? — zapytał ojciec.

— Albowiem — odparł z rozdrażnieniem — nie zwykł pan wierzyć w to, co nie zgadza się z pańskimi uprzedzeniami i

wyobrażeniami. Pamiętam, że i ze mną było podobnie, życie wszakże nauczyło mnie wiele.

— Niech pan jednak spróbuje. Nie jestem taki zaślepiony, za jakiego pan mnie uważa — odezwał się ojciec. — Ponadto wiem dobrze, iż nie przyjmuje pan prawd na wiarę, tym bardziej więc skłonny jestem uwierzyć panu.

— Ma pan rację twierdząc, że niełatwo mi przyszło dać wiarę zjawiskom nadprzyrodzo-ny-m — a niewątpliwie takich właśnie zjawisk byłem świadkiem — i niezwykle dopiero do-wody zmusiły mnie, bym uwierzył w to, co pozostawało w całkowitej sprzeczności ze wszy-stkimi mymi dotychczasowymi teoriami. Padłem ofiarą spisku ciemnych mocy.

W tym momencie ojciec mój, który zawsze wysoko cenił bystrość umysłu generała, spojrział nań wzrokiem, w którym wyraźnie dostrzegłam jakby zwątpienie w stan władz umy-słowych rozmówcy.

Generał na szczęście nie spostrzegł niczego. Ponurym, lecz zaciekawionym wzrokiem mierzył otwierające się przed nami leśne polany i przesieki.

— Czyżbyście państwo jechali do ruin zamku Karnsteinów? Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności! Zamierzałem prosić pana o zabranie mnie tam; chciałem je obejrzeć. Interesuje mnie zwłaszcza jedno miejsce. Wszak jest tam zrujnowana kaplica kryjąca groby wielu człon-ków tego wygasłego rodu, nieprawdaż?

— W rzeczy samej. Czyżby zgłaszał pan roszczenie do tytułu i dóbr? — odparł wesoło ojciec. Generał jednak nie zareagował na żart przyjaciela śmiechem czy choćby uśmiechem — jak by nakazywała uprzejmość. Był ponury i rozdrażniony, pograżony w myślach, budzą-cych w nim gwałtowne wybuchy namiętności.

-Bynajmniej — odburknął — zamierzam tylko odkopać pewne zwłoki. Ufam, iż z Bożą pomocą zdołam dokonać zbożnego świętokradztwa. Uwolni ono świat od potwora, po-zwoli uczciwym ludziom spokojnie spać, bez lęku o swe życie. Przybyłem tu, drogi przyjacie-lu, by opowiedzieć panu o rzeczach tak dziwnych, że przed kilku miesiącami sam nigdy bym w nie nie uwierzył.

Mój ojciec spojrział nań znowu, tym razem jednak wzrokiem, w którym miejsce podej-rzeń zajęła nagle ciekawość i niepokój.

— Siedziba Karnsteinów — odezwał się — opuszczona została dawno, przed stu laty co najmniej. Moja żona wywodziła się z tego



rodu po kądzieli. Nazwisko i tytuł od dawna wygasły. Zamek jest w ruinie, otaczająca go wieś została opuszczona. Od pięćdziesięciu lat dym nie uniósł się tam z komina, ba, nie zachował się nawet żaden dach.

— Wiem o tym. Od czasu gdy widzieliśmy się po raz ostatni, wiele słyszałem o owym miejscu, i to rzeczy naprawdę zdumiewające. Ale lepiej będzie, gdy opowiem wszystko od początku. Znał pan moją podopieczną, moją córeczkę — jak ją zwykłem nazywać. Trudno wyobrazić sobie istotę równie uroczą, równie kwitnącą jak ona — jeszcze przed trzema miesiącami.

— Biedactwo! Gdy widziałem ją ostatni raz, była zaiste czarująca — wtrącił ojciec. — Słowa nie oddadzą żalu i smutku, w jakim pograżyła mnie ta wiadomość. Rozumiem, drogi przyjacielu, jaki to był dla pana cios.

Ujął dłoń generała i serdecznie ją uścisnął. W oczach starego żołnierza ukazały się łzy, których nie próbował ukryć.

— Jesteśmy starymi przyjaciółmi — rzekł. — Wiedziałem, że okaże pan współczucie mej samotności. Troszczyłem się o siostrzenicę, jak tylko umiałem, a ona odwzajemniała moje uczucie, napełniając dom mój radością, a życie moje szczęściem. Wszystko minęło. Nie-wiele mi już może życia pozostało, mam jednak nadzieję, że przed śmiercią zdołam, z Bożą pomocą, oddać ludzkości przysługę, wesprzeć niebiosą nad szatanem, który zabił me dziecko w wiośnie lat i urody.

— Przynależę pan opowiedzieć nam wszystko od początku — rzekł ojciec. — Błagam, niech pan to zrobi. Zapewniam pana, iż nie ciekawość tylko mną powoduje.

Dojechaliśmy właśnie do miejsca, gdzie od gościńca z Drunstall, którym przybył generał, odchodzi droga wiodąca ku siedzibie Karnsteinów.

— Jak daleko jest jeszcze stąd do ruin? — spytał, patrząc z niecierpliwością przed siebie.

— Około pół mili — odparł ojciec. — Niech pan jednak opowie ową historię. Doprawdy, musimy ją usłyszeć.

— Dobrze więc — odparł generał z wysiłkiem i po chwili, zebrawszy myśli, rozpoczął jedną z najdziwniejszych opowieści, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek słyszeć.

— Moja najdroższa dziewczeczka z radością oczekiwała wizyty, na którą był pan łaskaw zaprosić ją do swej uroczej córki. - W tym miejscu skłonił mi się dwornie, choć ze smutkiem. — Przedtem jednak zaproszeni byliśmy do mego przyjaciela, hrabiego Carlsfelda, którego zamek leży o sześć mil z drugiej strony posiadłości Karnsteinów, by wziąć udział w zabawach i przyjęciach wydawanych — jak pan pamięta — na cześć jego dostojnego gościa, arcyksięcia Karola.

— Tak, pamiętam — wtrącił ojciec — musiały to być w rzeczy samej wspaniałe uroczystości.

— Godne księcia. Powiem więcej: hrabia podejmował gości doprawdy po królewsku. Jakby miał lampę Aladyna. Owego wieczoru, od którego tragedia moja bierze swój początek, odbyć się miała wspaniała maskarada. Otwarto ogrody, na drzewach wisiały kolorowe lam-piony. Piękniejszych ogni sztucznych nie widział nawet Paryż. A muzyka! Wie pan, że muzy-ka to moja słabość — otóż muzyka była doprawdy zachwycająca. Grały tam chyba najlepsze orkiestry świata, a śpiewacy godni byli największych scen operowych Europy. Przechadzając się po cudownie rozświetlonych ogrodach, podziwiając w poświacie księżycy bryłę zamku z przebłyskującymi różowym światłem rzędami okien, słyszeć mogłeś te zachwycające głosy dobiegające z jakiegoś zagajnika czy też wzbijające się z łodzi na jeziorze. Słuchałem i patrzyłem czując, że przenoszę się w krainę poezji i fantazji, krainę mych młodych lat!

Gdy skończyły się fajerwerki, a rozpoczął bal, wróciliśmy na zamek, gdzie amfilady wspaniałych sal czekały już na tancerzy. Wie pan, jak pięknym widowiskiem jest bal masko-wy. Nigdy jednak nie widziałem przedstawienia aż tak wspaniałego.

Zebrał się tam kwiat arystokracji; bodaj ja jeden wśród nich nie byłem „kimś”.

Moja ukochana dziewczeczka wyglądała prześlicznie. Była bez maski. Radość i ożywie-nie dodawały uroku jej zawsze przecież pięknym rysom twarzy. W pewnej chwili zauważy-łem, że jakaś wspaniale odziana młoda dama w masce na twarzy obserwuje mą siostrzenicę z nadzwyczajną ciekawością. Po raz pierwszy spostrzegłem ją na początku wieczoru w wielkim hallu, a po chwili przeszła tuż obok nas na tarasie pod oknami zamku. Towarzyszyła jej star-sza dama, także zamaskowana, odziana bogato, lecz poważnie,

sprawiająca wrażenie osoby wysoko postawionej. Gdyby nie maska na twarzy młodszej z nich, zorientowałbym się z większą pewnością, czy rzeczywiście obserwowała ona me biedne dziecko. Dziś przekonany jestem, iż tak właśnie było.

Byliśmy w jednym z salonów. Moje biedne dziewczę, które przez cały czas tańczyło, odpoczywało teraz w jednym z foteli przy drzwiach. Ja stałem nie opodal. Dwie damy, o których wspomniałem, podeszły ku nam, młodsza z nich usiadła obok Berty, starsza zaś, stanąwszy koło mnie, przez chwilę mówiła coś cicho do swej towarzyszki.

Następnie, korzystając z przywilejów, jakie daje maska, zwróciła się do mnie tonem sta-rego przyjaciela, rozpoczynając rozmowę, która w najwyższym stopniu wzbudziła mą ciekawość. Wspominała miejsca jakichś naszych dawnych spotkań na dworze i w wytwornych salonach, drobne wydarzenia, o których dawno zapomniałem, a które jednak pozostawiły w mej pamięci ślad, ożywały bowiem natychmiast, gdy tylko czyniła do nich aluzje.

Ciekawość, kim jest owa dama, rosła we mnie z każdą chwilą. Znajomość mego życia, jaką wykazywała, była dla mnie całkowicie niepojęta. Ona tymczasem zdawała się bawić, wystawiając mą ciekawość na próbę, obserwując, jak gubię się w domysłach i jak za wszelką cenę staram się dociec prawdy.

W tym czasie młoda dama, do której matka zwróciła się raz czy drugi, nazywając ją dziwnym imieniem Millarca, z równą łatwością i wdziękiem nawiązała rozmowę z mą siostrzenicą.

Przedstawiła się mówiąc, że matka jej to moja znajoma z dawnych lat. Mówiła o tym, jak maska na twarzy ośmiela, tonem przyjaciółki pochwaliła suknię Berty, dała zręcznie do zrozumienia, że znajduje się pod przemożnym wrażeniem jej urody. Rozbawiła Bertę żartobliwymi uwagami o gościach zapełniających balową salę i śmiała się serdecznie wraz z nią. Była tak pełna werwy i humoru, że w krótkim czasie obie dziewczęta były w serdecznej przyjaźni. Wówczas nieznajoma uchyliła maski, ukazując twarz wyjątkowej wprost urody. Ani ja, ani moja siostrzenica nie widzieliśmy jej dotychczas. Lecz choć ujrzeliśmy ją po raz pierwszy, twarz ta była tak ujmująca, tak miła, że nie sposób było nie poczuć ku niej żywej sympatii. Tak się też stało z mym biednym dzieckiem. Nigdy nie widziałem przypadku tak nagłego oczarowania. Zresztą i nieznajoma — jak się zdawało —

od pierwszego wejrzenia oddała swe serce bez reszty na usługi mej siostrzenicy.

Ja tymczasem, korzystając z praw balu maskowego, postawiłem starszej damie kilka śmiałych pytań.

— Pani, zaintrygowałaś mnie w najwyższej mierze; czyż to nie dosyć? — rzekłem śmiejąc się. — Niechże i ja na koniec uzyskam równe prawa! Wyświadcz mi łaskę, proszę, zdejmując z twarzy maskę!

— Cóż za nierozsądna propozycja — odparła. — Oczekiwać ustępstwa od kobiety? A zresztą skąd pan wie, że mnie pan rozpozna? Lata robią swoje.

— Jak pani widzi — odparłem, skłaniając się z uśmiechem nie pozbawionym, myślę, lekkiej melancholii.

— Tak też twierdzą filozofowie — dodała. — Skądże więc ta pewność, że rozpozna mnie pan?

— Podejmę to ryzyko. Na próżno dodaje pani sobie powagi lat. Figura panią zdradza.

— A jednak całe lata minęły od chwili gdy widziałam pana ostatni raz, a właściwie od chwili gdy pan mnie ostatni raz zobaczył. Zresztą proszę spojrzeć: oto Millarca, moja córka. Nie mogę więc uchodzić za młodą, nawet w oczach tych, których czas nauczył względności ocen. Nie chcę, by pan porównywał mnie dziś ze mną taką, jaką pan pamięta. Cóż zresztą da mi pan w zamian? Nie ma pan przecież maski!

— Apeluje więc do twojej litości, pani! Zdejm maskę!

— A ja do pańskiej. Pozwól mi ją zachować.

— Proszę więc przynajmniej zdradzić, kim pani jest, Niemką czy Francuzką? Oboma językami włada pani równie biegle.

— A jednak i tego nie zdradzę panu, generale. Atakuje pan znieńacka, szukając słabego punktu.

— Nie zaprzeczy pani wszakże, iż zaszczycony rozmową powinienem przynajmniej wiedzieć, jak się do pani zwracać. Czy mam panią tytułować hrabiną?

Roześmiała się. Bez wątpienia zbyłaby mnie kolejnym wybiegiem, gdyby. ale przecież w rozmowie tej wszystko — o czym jestem dziś przekonany — ukartowane zostało z góry z niebywałym sprytem, toteż trudno przypuszczać, by cokolwiek stać się mogło przez przypa-dek.

— Jeśli już o tym mowa. — zaczęła, ale jej wywód został w pół słowa przerwany po-jawieniem się odzianego w czerń mężczyzny. Wyglądał nad wyraz wytwornie i dystyngowa-nie, razila tylko jego trupio blada twarz, jakiej nigdy nie widziałem, chyba u zmarłych. Nie miał kostiumu, był w zwykłym czarnym stroju wieczorowym; skłoniwszy się dwornie z nie-zwykłym uszanowaniem, rzekł z wielką powagą:

— Czy pozwoli mi pani, hrabino, bym zamienił z nią kilka słów, które, jak sądzę, zainteresują panią?

Dama spiesznie zwróciła się ku niemu, kładąc na ustach palec gestem nakazującym milczenie.

— Musi pan na mnie poczekać, generale — rzekła. — Zaraz wrócę, zamienię tylko kilka słów.

Rzuciwszy mi wesoło to polecenie, odeszła o parę kroków z mężczyzną w czerni; przez chwilę rozmawiali, z wielkim, jak się zdawało, przejęciem, po czym oddalili się z wolna i zginęli mi z oczu w tłumie.

Zostałem sam i dalej łamałem sobie głowę, kim mogła być owa dama, tak życzliwie wspominająca moją z nią znajomość. Pomyślałem, czyby nie przyłączyć się do rozmowy, którą moja siostrzenica prowadziła z córką hrabiny, i wypytać ją, tak że gdy dama powróci, mógłbym zaskoczyć ją niespodzianką, wymieniając bez zająknięcia jej nazwisko, tytuł, na-zwę zamku i posiadłości. W tej jednak chwili dama nadeszła w towarzystwie bladego męż-czyzny w czerni, który rzekł:

— Wrócę, hrabino, i dam pani znać, gdy powóz zajedzie. — Cofnął się z głębokim ukłonem.

— A zatem będziemy musieli się rozstać, hrabino; mam nadzieję jednak, że tylko na kilka. godzin.

— Być może, ale możliwe jest również, iż moja nieobecność potrwa kilka tygodni. Nieszczęsny to traf, że człowiek ten ze swymi nowinami odnalazł mnie właśnie teraz. Czy wie już pan, kim jestem?

Zapewniłem ją, że nadal nie domyślam się niczego.

— Dowie się pan wszystkiego, ale nie teraz. Jesteśmy lepszymi i dawniejszymi przyja-ciołmi, niż mógłby pan podejrzewać. Teraz nie mogę dać się poznać. Ale za trzy tygodnie przejeżdżać będę koło pańskiego pięknego zamku, o którym zdążyłam zasięgnąć wiadomości. Zaglądnę wówczas na godzinę czy dwie i odnowimy

przyjaźń, którą wspominam zawsze z największą przyjemnością. Wieść, którą właśnie otrzymałam, poraziła mnie jak grom. Muszę natychmiast wyruszyć w podróż liczącą sto mil bez mała, po niepewnych drogach, w pośpiechu, na jaki tylko potrafię się zdobyć. Nie dość na tym; gdyby nie tajemnica, jaką zmuszona jestem okrywać me nazwisko, zwróciłabym się do pana ze szczególną zaiste prośbą. Otóż moje biedne dziecko nie odzyskało jeszcze sił. Niedawno upadła wraz z koniem, asystując przy polowaniu, i po tym wstrząsie nie przyszła jeszcze do siebie. Lekarz powiada, że pod żadnym pozorem nie wolno jej przez czas jakiś nadużywać sił. Jadąc tu, nie przekraczaliśmy sześciu mil dziennie. Teraz zmuszona będę podróżować dniem i nocą w sprawach, od których zawisło życie lub śmierć, a których doniosłość i nagłość wyjawic będę panu mogła z całą otwartością za kilka tygodni, gdy — jak mam nadzieję — spotkamy się.

Co powiedziawszy, wyluszczyła ową prośbę, czyniąc to tonem osoby, która raczej wyświadcza łaskę, niż prosi o pomoc. Był to jednak tylko sposób mówienia, nieświadomy bodaj, słowa bowiem, w jakich zwróciła się do mnie, były więcej niż błagalne. A szło o to, bym na czas jej nieobecności podjął się opieki nad córką.

Była to — zważywszy okoliczności — propozycja dziwna, by nie rzec: śmiała. Dama niejako rozbroiła mnie z góry, wyliczając wszystko, co można by wysunąć przeciw takiemu rozwiązaniu, i całkowicie zdając się w tej mierze na mą rycerskość. W tej samej chwili, jakby za sprawą fatum zdającego się ciążyć nad wszystkim, co się wówczas działo, moja ukochana siostrzenica podeszła do mnie i cichym szeptem błagać mnie zaczęła, bym zaprosił do nas jej nową przyjaciółkę. Właśnie mówiła z nią o tym i była pewna, że Millarca, gdyby tylko matka wyraziła zgodę, miałyby na to wielką ochotę.

Innym razem powiedziałbym jej, by zaczekała przynajmniej do czasu, gdy dowiemy się, kim są owe damy. Nie miałem jednak czasu do namysłu, obie panie zaatakowały mnie zbyt nagle. Muszę też wyznać, że uroda Millarki, której twarz, tak skończenie piękna i subtelna, miała w sobie coś ujmującego, jej wytworność i czar obejścia znamionujące wysoki ród podbiły mnie całkowicie; poddałem się i zbyt pochopnie podjąłem się opieki nad młodą damą o dziwnym imieniu.

Hrabina skinęła na córkę; ta ze skupioną uwagą wysłuchiwała

zwięzłych wyjaśnień o nagłym i niespodziewanym wezwaniu i o krokach, które matka podjęła, powierzając ją mej opiece. Hrabina dodała przy tym, że jestem jednym z jej najstarszych i najwierniejszych przy-jaciół.

Ja naturalnie wygłosiłem słowa, jakich zdawała się ode mnie żądać sytuacja, by dopiero po chwili spostrzec, że znalazłem się w położeniu wysoce dla siebie kłopotliwym.

Mężczyzna w czerni powrócił i z honorami wyprowadził starszą damę z salonu, jakby chcąc dać do zrozumienia, iż hrabina była osobą znacznieszą, niż mógłby na to wskazywać jej skromny tytuł.

Ostatnim życzeniem damy było, abym do czasu jej powrotu nie starał się dowiedzieć niczego ponad to, czego sam mogłem się domyślić. Dostojny gospodarz, u którego gościli-śmy, miał znać powody owego incognito.

— Ale ani ja, ani moja córka nie możemy tu pozostać bezpiecznie dłużej niż jeden dzień. Przed godziną, nieostrożna, zdjęłam na chwilę maskę. Wydało mi się, że pan mnie do-strzegł. Postanowiłam zatem znaleźć sposobność do rozmowy z panem. Jeśli istotnie okazało-by się, iż pan mnie poznał, odwołałabym się do pańskiego honoru, prosząc o zachowanie przez kilka tygodni tajemnicy. Skoro tak się nie stało, cieszę się wielce; gdyby jednak domy-ślał się pan czy też po pewnym czasie powziął podejrzenie, kim jestem, również w pełni polegam na pańskim honorze. Moja córka także zachowa tajemnicę, przekonana zaś jestem, że pan przypomni jej o niej, gdyby bezmyślnie miała się zdradzić.

Szepnęła córce kilka słów, dwa razy pospiesznie ją ucałowała i odprowadzona przez mężczyznę w czerni odeszła, ginąc w tłumie.

— Z okna sąsiedniego pokoju — rzekła Millarca — widać drzwi wejściowe; chciała-bym jeszcze raz zobaczyć mamę i przesłać jej na pożegnanie pocałunek.

Oczywiście podeszliśmy wszyscy do okna. Na podjeździe ujrzeliśmy wytworny staro-świecki powóz; otaczała go grupa jeźdźców i służba. Dojrzeliliśmy szczupłą postać mężczyzny w czerni; trzymał na rękę aksamitny płaszcz, który zarzucił damie na ramiona, otulając jej głowę kapturem. Skinęła głową i lekko uścisnęła mu dłoń. Drzwiczki zatrzasnęły się, powóz ruszył, mężczyzna pozostał w głębokim ukłonie.

— Odjechała — rzekła Millarca z westchnieniem.

„Odjechała” — powtórzyłem w myśli. Od chwili, gdy wyraziłem swą zgodę, wydarzenia biegnęły tak szybko, że teraz dopiero zacząłem dostrzegać, jak była ona nierozważna.

— Nie spojrziała w górę — rzekła młoda dama z żalem w głosie.

— Hrabina zdjęła na pewno maskę i nie chciała ukazać swej twarzy — odparłem. — Zresztą nie mogła wiedzieć, że będzie pani stać w oknie.

Westchnęła i zwróciła ku mnie wzrok. Była tak piękna, że wszystkie wahania ustąpiły. Było mi przykro, że przez moment pożałowałem swej gościnności. Postanowiłem wynagrodzić jej nie wypowiedzianą wprawdzie, ale przecież niewątpliwą rezerwę, z jaką udzieliłem jej gościny.

Młoda dama nałożyła maskę i dziewczęta zaczęły namawiać mnie, byśmy udali się na dół, gdzie niebawem znów miał się rozpocząć koncert. Zeszliśmy zatem i spacerowali po tarasie pod oknami zamku.

Millarca czuła się w naszym towarzystwie swobodnie. Zabawiała nas opowiadając żywo i z humorem anegdoty i historyjki dotyczące wielu wybitnych osobistości, które spotykaliśmy na tarasie. Z każdą minutą coraz bardziej ją lubiłem. Jej pozbawione złośliwości ploteczki ciekawiły mnie niezmiernie, jako że przez długi czas nie bywałem w wielkim świecie. Pomyślałem, ile radości wniesie ona w nasze samotne czasami wieczory w domu.

Bal trwał jeszcze, gdy poranne słońce ukazało się już niemal nad horyzontem. Arcyksiążę lubił bawić się do rana, my, lojalni poddani, nie mogliśmy więc pożegnać się czy choć-by pomyśleć o spoczynku.

Przechodziliśmy przez zatłoczoną salę, kiedy Berta nagle zapytała o swą nową przyjaźniokę. Ja myślałem, że była z nią, ona zaś sądziła, że jest ze mną. Tak czy inaczej, oboje straciliśmy ją z oczu.

Na próżno starałem się ją odnaleźć. Obawiałem się, iż odłączywszy od nas na chwilę, wzięła za swych nowych przyjaciół jakichś nieznajomych, podążyła za nimi i tak zgubiliśmy się na rozległym terenie, jaki gospodarz przeznaczył dla zabawy gości.

Z całą mocą uświadomiłem sobie teraz ponownie nierozważny krok, jakim była zgoda na opiekę nad młodą damą, której jedynie imię było mi znane. Spętany obietnicą, której sensu nie znałem, nie mogłem nawet ułatwić sobie poszukiwań, wpytując o córkę hrabiny, która przed kilkoma godzinami odjechała.



Nastał poranek. Słońce stało już wysoko na niebie, gdy na koniec zaprzestałem poszu-kiwań. Pierwsza wiadomość o zaginionej dotarła do nas dopiero po południu.

Około drugiej służący zapukał do drzwi Berty mówiąc, że młoda dama zdradzająca oznaki wielkiego niepokoju dopytuje się usilnie, gdzie może znaleźć generała barona Spiels-dorfa i jego córkę, których opiece matka powierzyła ją ubiegłej nocy.

Oczywistym było, mimo drobnej nieścisłości w tytule, że to nasza nowa znajoma odna-lazła się. W rzeczy samej tak było. Gdybyż niebiosy pozwoliły jej się były wówczas zagubić!

Opowiedziała mej biednej dziewczynie historię mającą wyjaśnić, dlaczego tak długo nie mogła nas odszukać. Zrozpaczona, chcąc nas za wszelką cenę odnaleźć, zablądziła i dostała się do sypialni jednej ze służących, gdzie zasnęła głębokim snem, który, choć długi, jeszcze nie przywrócił jej pełni sił po zmęczeniu balem.

Tegoż dnia Millarca pojechała z nami do domu. Pomimo wszystko byłem więcej niż rad, że moja ukochana Berta pozyskała tak uroczą towarzyszkę.

Wkrótce jednak wyszło na jaw, że istnieją też pewne podstawy do niepokoju. Przede wszystkim Millarca skarżyła się na niezwykle, utrzymujące się po przebytej chorobie osłabie-nie, skutkiem którego nigdy nie opuszczała swego pokoju wcześniej niż późnym popołudniem. Odkryliśmy też przypadkiem, choć zawsze zamykała drzwi na klucz od środka i nie wyjmowała go do chwili, gdy wpuszczała dziewczynę pomagającą jej przy toalecie, że czasu-mi, wczesnym rankiem czy też w ciągu dnia, zanim zeszła na dół, nie było jej w pokoju. Kilkakrotnie widziano ją z okien zamku, jak o szarym świcie szła wśród drzew ku wschodo-wi, jakby w transie. Doszedłem do przekonania, że była lunaticzką. Hipoteza ta jednak nie rozwiązywała całkowicie zagadki. W jaki sposób wychodziła z pokoju, zostawiając drzwi zamknięte na klucz od środka? Jak mogła się wydostawać na dwór, nie otwierając drzwi ani okien?

Gdy tak gubiłem się w domysłach, pojawiło się nowe, znacznie poważniejsze zmartwie-nie.

Ukochane moje dziecko zaczęło zapadać na zdrowiu, a wygląd jej uległ tak tajemni-czym, a niepokojącym zmianom, że byłem doprawdy przerażony.

Zrazu męczyły ją koszmarne sny; z czasem zdawać się jej

zaczęło, iż nawiedza ją upiór przybierający już to postać Millarki, już to jakiegoś krążącego wokół nóg łóżka potwornego zwierzęcia, którego kształtów nie mogła wyraźnie dostrzec. Potem pojawiły się wrażenia cie-lesne. Jedno z nich, osobliwe, choć wcale przyjemne, przypominało lodowaty dreszcz prze-biegający pierś. Wspominała też, że czuła, jakby dwie wielkie igły wbijały jej się z piekącym bólem w szyję, tuż poniżej krtani. Po upływie kilku nocy wystąpiły objawy narastającej du-szności, na koniec zaś straciła przytomność.

Jechaliśmy przez niską, miękką trawę zarastającą z obu stron drogę wiodącą do zrujno-wanej, od pół roku wymarłej wioski. Każde słowo starego, poczciwego generała dobiegało mnie wyraźnie.

Możecie sobie wyobrazić, jak dziwnie się czułam, rozpoznając moje własne symptomy w opisie przeżyć biednej dziewczyny, która, gdyby nie tragiczna katastrofa, byłaby właśnie teraz naszym gościem. Zrozumiecie też pewnie, jak czuć się musiałam słysząc, że generał opisuje ze szczegółami obyczaj nie kogo innego, tylko naszego pięknego gościa — Carmilli!

Las skończył się; niespodziewanie znaleźliśmy się wśród kominów i nagich krokwi opuszczonej wioski. Nad nami zdawały się zwisać blanki i wieże zrujnowanego zamczyska w otoczeniu ogromnych drzew.

Wysiadłam z powozu porażona strachem, niczym we śnie. W milczeniu — bowiem zbyt wiele myśli kłębiło się w duszy każdego z nas — wspięliśmy się na szczyt wzgórza, by znaleźć się wśród rozległych komnat, mrocznych korytarzy i krętych schodów starego zam-czyska.

— A więc to była kiedyś dumna rezydencja Karnsteinów! — odezwał się w końcu generał, spoglądając z wielkiego okna na wioskę i sfalowane w oddali rozległe lasy. — Zły to był ród i tu właśnie pisane były jego krwawe dzieje — ciągnął dalej. — I nawet po śmierci prześladują żywych swymi okrutnymi żądzami! A tam oto jest kaplica Karnsteinów.

Wskazał na szare mury gotyckiej budowli przeświecającej poprzez listowie nieco poni-żej szczytu wzniesienia.

— Słyszę siekierę drwala wśród otaczających ją drzew — dodał. — Może on będzie nam pomocny w poszukiwaniach i wskaże grób Mircalli, hrabianki Karnstein. Ci wieśniacy długo przechowują legendy o wielkich rodach, których pamięć wśród bogatych i

utytułowa-nych ginie z chwilą, gdy ród wymiera.

— W naszym domu zachował się portret Mircalli. Zapewne zechce go pan zobaczyć, generale? — zapytał ojciec.

— Przyjdzie i na to czas, drogi przyjacielu. Jak sądzę, miałem możliwość oglądać oryginał. Natomiast celem mego wcześniejszego, niż zamierzałem, do was przybycia było zbada-nie kaplicy, ku której właśnie zdążamy.

— Jakże to, widział pan hrabiankę Mircallę? — wykrzyknął ojciec. — Wszak ona od stu lat przeszło spoczywa w grobie.

— O ile mogę przypuszczać — odparł generał — nie tak znów zupełnie.

— Wyznać muszę, że mnie pan zadziwia — rzekł ojciec, spoglądając na starca z tą samą podejrzliwością, którą już raz dostrzegłam. Lecz choć z zachowania generała przebijał gniew i nienawiść, nic nie wskazywało, by umysł jego był zmacony.

— Jednego tylko pragnąłbym dokonać — odezwał się, gdy przechodziliśmy pod masywnym łukiem gotyckiej, sądząc po rozmiarach, kaplicy — w ciągu tych niewielu lat, które pozostały mi jeszcze na ziemi. Chcę wyrzucić na niej zemstę, czego, Bogu dzięki, może dokończyć ramię śmiertelnika.

— O jakiej zemście pan mówi? — zapytał ojciec z rosnącym zdumieniem.

— Chcę ściąć głowę potwora — odparł generał gwałtownie. Twarz nabiegła mu krwią, nogą uderzył wściekle w posadzkę, budząc wśród ruin głucho echo, a zaciśniętą dłoń podniósł do góry, jakby chwycił rękojeść topora i potrząsał nim gwałtownie w powietrzu.

— Cóż to znaczy? — wykrzyknął ojciec, całkiem już oszołomiony.

— Utnę jej głowę!

— Głowę?

— Tak! Toporem, łopata czy czymkolwiek, co przeciąć zdoła jej mordercze gardło. Zobaczysz pan — dodał, dygocąc z gniewu. Po czym podchodząc ku mnie, rzekł:

— Ta belka posłużyć może za ławkę. Córka pana jest zmęczona, niechaj usiądzie, a ja w paru słowach dokończę mej ponurej opowieści.

Kwadratowy pień leżący na zarosłej trawą posadzce kaplicy w rzeczy samej przypominał ławkę. Usiadłam na nim z ulgą. Generał

zawezwał drwala ścinającego gałęzie oplatające stare mury. Po chwili barczysty starzec z toporem w ręku stanął obok nas.

Okazało się, że sam niewiele potrafił powiedzieć o ruinach. O dwie mile jednak — jak mówił — mieszka u księdza pewien staruszek, niegdyś gajowy w tych lasach, który zna każdą cegłę w zamku Karnsteinów. Jeśli pożyczymy mu konia, gotów jest, za skromną opłatą, sprowadzić go tu w pół godziny.

— Od jak dawna tu pracujesz? — zapytał ojciec starego drwala.

— Jestem tutejszy — odparł stary swą gwarą. — Od małego pracuję w tych lasach, tak jak ojciec, dziad i wszyscy moi przodkowie, jak daleko sięga ludzka pamięć. Mogę pokazać panu stary dom we wsi, gdzie z dawien dawna moja rodzina mieszkała.

— Dlaczego wieś została opuszczona? — zapytał generał.

— Przez upiory, panie. Kilka, z nich wytropiono w grobach i postąpiono, jak zwyczaj każe, ścinając im głowę i pałac. Ale zanim to się stało, wielu mieszkańców wsi pomarło.

Imimo że zgodnie z prawem otwarto tyle grobów i tyle wampirów pozbawiono ich straszliwej mocy, wieś w dalszym ciągu nie zaznała spokoju.

Jednakże pewien szlachcic z Moraw, który przypadkiem zawędrował w te strony, a był, jak wielu jego rodaków, obeznany z takimi sprawami, posłyszał o wszystkim i ofiarował się uwolnić wieś od prześladowcy. A uczynił tak:

W jasną księżycową noc wyszedł zaraz po zachodzie słońca na kościelną wieżę, skąd wyraźnie mógł widzieć cały cmentarz (i państwo mogą go zobaczyć z tego okna). W pewnej chwili ujrzał, jak z jednego grobu wyłania się wampir, odchodzi na bok, składa lniane grobo-we szaty i rusza ku wsi, na zgubę jej mieszkańców.

Widząc to, cudzoziemiec opuścił swą kryjówkę, zszedł na dół i zabrał te szaty ze sobą na wieżę. Gdy wampir powrócił ze swej krwiożerczej wyprawy i nie znalazł grobowego gie-zła, wykrzyknął wściekle do Morawianina, którego dostrzegł na szczycie wieży. Ten w odpowiedzi skinął na potwora, zachęcając go do wyjścia na górę i zabrania swych szat. Wampir posłuchał i zaczął się wspinać na wieżę, a gdy dotarł do korony muru, cudzoziemiec cięciem miecza rozplatał mu czaszkę na dwoje, po czym zrzucił potwora na dół, gdzie i sam zbiegł zaraz kręconymi schodami, by całkowicie odciąć mu głowę. Następnego dnia głowę i ciało oddał wieśniakom, którzy przebili je

jak należy, kołkiem, a następnie spalili.

Szlachcic ów uzyskał także od ówczesnej głowy rodu zgodę na usunięcie grobowca hrabianki Mircalli, co też zrobił, tak że wkrótce potem nawet jego miejsce zostało całkiem zapomniane.

— A czy ty mógłbyś nam wskazać, gdzie był ten grób? — zapytał generał z przejęciem.

— Nie, bo dziś nikt już tego nie pamięta. Zresztą powiadają, że ciało jej gdzieś prze-niesiono, ale i tego nikt nie jest pewien. — To rzekłszy, zostawił topór i odszedł, by wyruszyć w drogę, my zaś mogliśmy wysłuchać dalszego ciągu dziwnej opowieści generała.

— Moja ukochana Berta — podjął — z dnia na dzień słabła. Medyk, który się nią opie-kował, nie potrafił w najmniejszym stopniu powstrzymać postępów choroby; miałem ją wów-czas za chorą. Świadom mego niepokoju zaproponował konsylium. Zawezwałem bardziej doświadczonego lekarza z Grazu. Nim do nas przybył, minęło kilka dni. Był to dobry, pobo-żny i wielce uczony człowiek. Po zbadaniu mego dziecka udali się obaj do biblioteki na naradę. Z sąsiedniej komnaty, gdzie oczekiwałem jej wyniku, słyszałem podniesione głosy; ton ich w niczym nie przypominał naukowej dysputy. Zapukałem do drzwi i wszedłem. Stary lekarz z Grazu bronił jakiejś teorii, którą jego młodszy kolega bezlitośnie wyszydzał, raz po raz wybuchając śmiechem. Gdy wszedłem, spór nagle się urwał.

— Panie — rzekł młodszy medyk — mój uczony kolega zdaje się sądzić, że potrzeba panu nie tyle znawcy medycyny, co magii.

— Przepraszam kolegę — odparł stary lekarz z Grazu z niezadowoleniem — mój punkt widzenia pozwolę sobie przedstawić osobiście innym razem. Żałuję, panie generale, ale moja wiedza i umiejętności nie mogą się tu na nic przydać. Nim jednak odjadę, pozwolę sobie coś panu doradzić.

Zamyślony usiadł przy stole i zaczął pisać. Skinąłem głową, nie ukrywając rozczarowa-nia; gdy wychodziłem, drugi medyk wskazał przez ramię na swego kolegę i wzruszając ramionami wyraziście postukał się palcem w czoło.

Tak więc i konsylium nie przyniosło żadnego rozwiązania. Pełen rozpaczliwej rozterki, wyszedłem na dwór. Po dziesięciu czy piętnastu minutach lekarz z Grazu znalazł się przy mnie. Przepraszając, że mnie w ten sposób niepokoi, rzekł, iż żadną miarą nie mógłby z czystym sumieniem wyjechać, nie zamieniwszy ze mną kilku słów. Jego

zdaniem nie może tu być mowy o pomyłce, bowiem żadna z normalnych chorób nie ma takich właśnie objawów, a śmierć jest już bliska. Pozostał jeszcze jeden, najwyżej dwa dni życia. Jeśliby jednak udało się od razu powstrzymać ostateczne uderzenie, staranna i umiejętna opieka mogłaby jeszcze, być może, przywrócić pacjentce siły. Ale wszystko wisi na włosku: jeszcze jeden atak w każdej chwili zgasić może ostatnią iskierkę życia.

— O jakim uderzeniu pan mówi? — zapytałem.

— Wyjaśniłem wszystko dokładnie w moim piśmie, które skłamałem w pańskie ręce — z tym jednak zastrzeżeniem, by posłał pan po najbliższego duchownego i przeczytał list dopiero w jego obecności. Pod żadnym pozorem nie wolno panu zrobić tego wcześniej, w takim bo-wiem razie mógłby pan zlekceważyć moje słowa, a jest to sprawa życia lub śmierci. Tylko w przypadku gdyby ksiądz nie mógł się zjawić, może pan przeczytać list sam.

Na koniec zapytał mnie, czy nie zechciałbym poznać kogoś wielce biegłego w sprawach, które, gdy ten list przeczytam, i mnie zapewne najżywiej zainteresują. Nalegał, bym człowieka tego koniecznie tutaj sprowadził, i z tymi słowy odjechał.

Ksiądz nie było, przeczytałem więc list sam. W innych okolicznościach pobudziłby mnie on tylko do śmiechu. Czyż są jednak sposoby, których nie chwyciłby się człowiek, gdy życie najukochańszej istoty jest w niebezpieczeństwie, a wszystkie uznane środki zawiodły?

Trudno wyobrazić sobie coś bardziej absurdalnego — powiecie zapewne — niż ów list uczonego lekarza. Były w nim rzeczy tak monstrualne, że mogły tylko kwalifikować autora do domu obłąkanych. Twierdził on mianowicie, że pacjentkę nawiedza wampir! Nakłucia, które znalazł na jej szyi, były, jego zdaniem, śladem dwóch długich ostrych i cienkich zębów właściwych, jak powszechnie wiadomo, wampirom. Wyraźnie też występuje — pisał — niewielka sina plamka, jaką wszyscy zgodnie uważają za ślad warg potwora. Nadto każdy z symptomów opisanych przez pacjentkę zgadza się ściśle z tym, co zanotowano w innych tego rodzaju przypadkach.

Dla mnie, nie wierzącego w żadne zjawy sceptyka, nadprzyrodzona teoria pocziwego doktora stanowiła jeden jeszcze przykład osobliwego połączenia wiedzy i inteligencji z niewątpliwymi halucynacjami. Byłem jednak tak zrozpaczony, że nie

mając innego wyboru, zastosowałem się do poleceń listu.

Ukryłem się w ciemnej garderobie przylegającej do pokoju chorej, w którym paliła się świeca, i obserwowałem ją aż do momentu, gdy głęboko zasnęła. Stałem przy drzwiach, pa-trząc przez niewielką szparę. Obok na stole, w myśl zaleceń listu, położyłem szpadę. Tuż po godzinie pierwszej ujrzałem duże czarne stworzenie o niewyraźnych kształtach czające się, jak mi się zdawało, koło nóg łóżka. Nagle stworzenie to znalazło się u gardła biednej dzie-wczyny, gdzie w jednej chwili rozrosło się w ogromną, drgającą masę.

Przez kilka sekund stałem jak skamieniały. Zaraz jednak skoczyłem naprzód ze szpadą w dłoni. Czarny stwór momentalnie się skurczył, ześliznął na ziemię i nagle, o metr niespełna od łóżka, ujrzałem patrzącą we mnie wzrokiem, w którym czaiło się okrucieństwo i przeraże-nie... Millarkę. Nie namyślając się, natarłem na nią ze szpadą. W tej chwili jednak ujrzałem ją koło drzwi, nawet nie draśniętą. Przerażony, uderzyłem znów. Znikła! Moja szpada zaś, ude-rzając w drzwi, rozpadła się na kawałki.

Nie zdołałam tu opisać wszystkich zdarzeń owej straszliwej nocy. Cały dom zerwał się na nogi. Millarca, upiór, zniknęła, ofiara jej jednak gasła w oczach; nad ranem nie żyła już.

Stary generał był niezmiernie wzburzony. Zapadło milczenie, którego nikt nie przery-wał. Ojciec oddalił się nieco, odczytując napisy na kamieniach nagrobnych, i zniknął w drzwiach prowadzących do bocznej kaplicy. Generał oparł się o ścianę, otarł łzy z oczu i ciężko westchnął. Poczuałam ulgę, słysząc zbliżające się ku nam głosy Carmilli i madame. Naraz jednak głosy te ucichły.

Grozą przejmowało pustkowie, mrok rzucany przez gąszcz gałęzi oplatający grube mu-ry, gdzie przed chwilą przebrzmiewały słowa przedziwnej historii związanej ze znakomitego rodu zmarłymi, których pokryte pyłem i bluszczem groby leżały wokół nas, grozę też budziła historia, której każdy szczegół tak złowieszczo wiązał się z moją własną tajemniczą sprawą. Pomyślałam z lękiem o tym, że może towarzyszki moje nie nadejdą i nie przerwą tej smutnej i złowieszczej sceny.

Stary generał stał pochylony, ze wzrokiem utkwionym w ziemię, wspierając się dłońmi o cokół jednego z grobowców.

W pewnej chwili pod wąskim, ostrołukowo sklepionym portalem, zwieńczonym jedną z owych maszkar będących ulubionym motywem

gotyckiej dekoracji rzeźbiarskiej, ujrzałam z radością piękną twarz i postać Carmilli, która ukazała się na progu ciemnej kaplicy.

Już miałam powstać i powitać ją, odpowiadając skinieniem głowy i uśmiechem na jej ujmujący uśmiech, gdy stary generał z krzykiem porwał topór drwala i skoczył ku niej. Gdy go spostrzegła, twarz jej zmieniła się przerażająco. Była to zmiana natychmiastowa i straszna. Skulona, odskoczyła w tył. Zanim zdołałam krzyknąć, generał uderzył z całej siły. Uchyliła się jednak przed ciosem i nie drażnięta nawet, drobną dłonią chwyciła go za rękę. Szamotał się przez chwilę, chcąc się wyswobodzić, jednak dłoń jego otworzyła się i topór upadł na ziemię. Carmilla zniknęła.

Starzec zatoczył się na ścianę. Jego siwe włosy były zjeżone, a po twarzy spływał mu pot, jakby nadeszła dlań chwila śmierci.

Cała ta scena rozegrała się w mgnieniu oka. W chwilę potem stała obok mnie madame, raz po raz powtarzając pytanie: — Gdzie jest panna Carmilla?

— Nie wiem. — odparłam wreszcie. — Nic nie wiem. — Przed minutą czy dwoma widziałam, jak wchodziła tędy — wskazałam dłonią drzwi, którymi weszła madame.

— Przecież stałam w tym przejściu od chwili, gdy tylko panna Carmilla weszła. Nie wychodziła tędy na pewno.

— Nazywała siebie Carmillą? — zapytał generał, wciąż wzburzony.

— Tak, to jej imię — odparłam.

— Aha — rzekł — toż to nikt inny, tylko Millarca! Ta sama, która dawno temu nosiła imię Mircalla, hrabianka Karnstein. Opuść czym prędzej to przekłete miejsce, drogie dziecko! Jedź do księdza i czekaj tam do naszego powrotu. Nie zwlekaj! Obyś już nigdy Carmilli nie ujrzała; tu w każdym razie nie odnajdziesz jej na pewno.

Gdy to mówił, tym samym wejściem, w którym pojawiła się i znikła Carmilla, wszedł do kaplicy przedziwnie wyglądający człowiek. Był to wysoki mężczyzna, w okularach w złotej oprawie, przygarbiony, o zapadniętej piersi i wystających ramionach. Odziany był na czarno. Twarz miał ciemną, poraną głębokimi zmarszczkami. Spod osobliwego kształtu kapelusza z szerokim rondem wymykały się długie, siwe włosy spadające na ramiona. Szedł wolno, dziwnie powłócząc nogami, a na twarzy, którą już to wznosił w niebo, już to nisko pochylał, igrał wieczny uśmiech. Dłońmi w czarnych,



najwyraźniej za dużych rękawiczkach, wykonywał dziwne gesty świadczące o krańcowym roztargnieniu.

— To on! — wykrzyknął generał, spiesząc ku przybyszowi z nie ukrywaną radością. — Jakże się cieszę, drogi baronie; nie sądziłem, że zobaczę pana tak prędko.

Skinął na ojca, który właśnie przyłączył się do nas i podprowadziwszy przedziwnego starszego pana, którego nazywał baronem, dokonał oficjalnej prezentacji; trzej panowie natychmiast wdali się w ożywioną rozmowę. Nieznajomy wyciągnął z kieszeni zwój papieru i rozłożył go na zatartej płycie stojącego w pobliżu nagrobka. W rękę trzymał pudełko z ołówkami i znaczył nimi niewidzialne linie na papierze, który, jak się domyślam — widząc, że panowie raz po raz odrywają od niego wzrok i wpatrują się w określone punkty budowli — musiał zawierać plan kaplicy. Swoje wyjaśnienia uzupełniał on co jakiś czas odczytywaniem fragmentów z małej, zniszczonej książeczki o gęsto zapisanych pożółkłych kartkach.

Po jakimś czasie przeszli powoli, wciąż rozmawiając, do bocznej nawy, naprzeciw miejsca, gdzie stałam. Tu zaczęli odmierzać odległość krokami; na koniec zatrzymali się przy jednej ze ścian i wszyscy trzej jęli ją badać bardzo dokładnie, odsuwając bluszcz, odbijając tynk końcami lasek, opukując ją i oskrobując. Na koniec odkryli w murze dużą wmurowaną tablicę z wyrytymi na niej literami.

Z pomocą drwała, który właśnie nadszedł, oczyścili ją tak, że wyraźnie było widać epi-tafium i tarczę herbową. Był to z dawna zapomniany grobowiec Mircalli, hrabianki Karnstein.

Stary generał, choć nie był — jak się obawiam — w nastroju do modłów, uniósł wzrok i ręce w górę w niemym geście dziękczynienia.

— Jutro będzie tu komisarz — usłyszałam jego słowa — dla przeprowadzenia procesu zgodnie z prawem Świętej Inkwizycji.

I obracając się do mężczyzny w złotych okularach, uścisnął go serdecznie mówiąc:

— Jak mam panu dziękować, baronie? Jakże wszyscy mamy panu dziękować? Dzięki panu ta okolica uwolni się od plagi prześladowanej mieszkańców od ponad stulecia. Nareszcie wytropiliśmy kryjówkę straszliwego wroga.

Ojciec odprowadził obu panów na stronę. Nie chciał, widać, bym słyszała, jak opowiada im o moim wypadku; widziałam jednak, jak w trakcie rozmowy raz po raz rzucają w moją stronę ukradkowe

spojrzenia.

Ojciec podszedł do mnie, uściskał mnie serdecznie i wyprowadzając z kaplicy, rzekł:

— Pora wracać, lecz zanim pojedziemy, musimy wstąpić do poczciwego księdza mieszkającego niedaleko stąd i namówić go, by pojechał z nami do zamku.

Czułam się nad wyraz znużona, toteż rada byłam niezmiernie, gdy w końcu, wioząc z sobą księdza, dotarliśmy do domu. Jednak radość moja zmieniła się w głęboki smutek, gdy dowiedziałam się, że nic tu nie wiedzano o Carmilli. Nikt mi nie wytłumaczył znaczenia zajść, jakie rozegrały się w kaplicy. Ojciec najwyraźniej zdecydowany był sprawy te zachować przede mną na razie w tajemnicy.

Złowróżbna nieobecność Carmilli sprawiała, że wspomnienie owych wydarzeń tym większą napełniało mnie grozą.

Przed udaniem się na spoczynek poczyniono niezwykle przygotowania. W pokoju moim przez całą noc miały czuwać dwie służące i madame. W przylegającej do mej sypialni garderobie pełnili straż ojciec i ksiądz.

Wieczorem ksiądz dokonał jakichś obrzędów. Nie pojmowałam ich znaczenia, tak samo jak nie mogłam zrozumieć powodów owych szczególnych środków ostrożności, jakie rozłożono nad moim snem.

Po kilku dniach rozumiałam wszystko dokładnie.

Wraz ze zniknięciem Carmilli moje nocne cierpienia ustały.

Słyszeliście niewątpliwie o przerażających przesądach rozpowszechnionych szeroko w Górnej i Dolnej Styrii, na Morawach, na Śląsku, w tureckiej Serbii, w Polsce, a nawet w Rosji. Mam tu na myśli przesadną wiarę w istnienie upiórów.

Jeśli świadectwa składane pod przysięgą przed niezliczonymi komisjami, złożonymi bez wyjątku z ludzi świątłych i prawych, i utrwalone w szczególności, jak na zwyczaj sądowy, drobiazgowych sprawozdaniach mają jakąkolwiek wartość, to trudno jest zaprzeczać istnieniu wampirów czy choćby w nie wątpić.

Żadna znana mi teoria, prócz tej właśnie, opartej na prastarych, przez licznych świadków potwierdzanych wierzeniach ludu, nie potrafi wyjaśnić tego, co przeżyłam i czego doświadczyłam.

Nazajutrz dopełniono w kaplicy Karnsteinów urzędowego aktu. Grobowiec hrabianki Mircalli został otwarty. Gdy generał i mój ojciec ujrzeni jej twarz, obaj rozpoznali w niej piękną i podstępłą młodą

dziewczyne, którą gościli. Choć od pogrzebu Mircalli minęło sto pięćdziesiąt lat, oblicze jej zachowało kolory życia. Leżała z otwartymi oczyma, z trumny nie wydobywał się trupi odór. Dwaj medycy, jeden urzędowy, drugi z ramienia generała, który wszczął dochodzenie, potwierdzili fakt niezwykły, a mianowicie, że wyczuć się dało słaby, niemniej wyraźny oddech i równie słabą, lecz wyraźną pracę serca. Członki zachowały swą giętkość, ciało było jędrne. Ołowiana trumna pełna była krwi, w której zwłoki zanurzone były na siedem cali. Wszystko to stanowiło dowody i oznaki wampiryzmu. Zgodnie ze staroda-wnym obyczajem wyjęto ciało z trumny i w serce wampira wbito ostro zaciosany kołek; w tym momencie dał się słyszeć przesywający krzyk, jakby wydobył się z ust umierającego. Następnie została odcięta głowa; z szyi trysnął strumień krwi. I ciało, i głowa, umieszczone na stosie drewna, spalone zostały na popiół, ten zaś wrzucony do rzeki i uniesiony w dal.

Ojciec mój posiada kopię sprawozdania cesarsko-królewskiej komisji poświadczoną podpisami wszystkich uczestników urzędowej procedury. Z tego to właśnie dokumentu przy-toczyłam opis ostatniej, wstrząsającej sceny.

Sądzić możecie, że opisuję to wszystko ze spokojem, całkowicie już opanowana. Niestety! Wciąż jeszcze nie potrafię o wydarzeniach tych myśleć bez wzburzenia. Jedynie usilne nalegania skłoniły mnie, by zasiąść do spisania tych wspomnień, które na długo zburzyły mój spokój, budząc na nowo cień nieopisanej grozy, co przez lata całe napełniała moje dnie i noce udręką tak straszną, iż chwile samotności zdawały się nie do zniesienia.

Kilka słów chciałabym jeszcze poświęcić owej osobliwej postaci, baronowi Vorden-burg, którego informacjom zawdzięczamy odkrycie grobu hrabianki Mircalli.

Mieszkał on w Grazu, gdzie żyjąc w nędzy, z resztek fortuny, które pozostały po świe-tnych niegdyś posiadłościach tego rodzaju w Górnej Styrii, całkowicie poświęcił się skrupula-tnym, mrówczo-cierpliwym studiom nad wszystkim, co dotyczy tak doskonale poświadczonych przejawów wampiryzmu. Miał w ręku wszystkie wielkie dzieła i najdrobniejsze przy-czynki poświęcone temu zagadnieniu: „Magia Posthuma”, „Phlegon de Mirabilibus”, „Augustinus de Cura pro Mortuis”, „Philosophicae et Christianae

Cogitationes de Vampiris” Johna Cristophera Herenberga i z tysiąc innych; pamiętam tylko tych kilka, które wypożyczył memu ojcu. Posiadał też obszerne wyciągi z akt sądowych, z których wydedukował prawa zdające się rządzić — już to zawsze, już to w określonych przypadkach — zachowaniem wampirów. Wspomnę tu przy okazji, że śmiertelna bladość przypisywana upiorom to tylko melodramaty-czne zmyślenie. Zarówno w grobie, jak i wśród ludzi mają one wszelkie pozory zdrowia i życia. Wydobyte z grobu, zdradzają te wszystkie oznaki, które posłużyły jako dowód, że dawno zmarła hrabianka Karnstein żyła nadal pod postacią wampira.

Nie wyjaśnioną dotąd zagadką pozostaje, w jaki sposób opuszczają one swe groby i powracają do nich co dzień na kilka godzin, nie poruszając ziemi i nie pozostawiając żadnych śladów na trumnie czy na obmurowaniu mogiły. Dwoista egzystencja wampira jest możliwa dzięki codziennej drzemce w grobie. Sił do życia wśród ludzi dostarcza mu straszliwa żądza ludzkiej krwi. Wampir potrafi czuć do kogoś gwałtowny pociąg przypominający miłosną namiętność. Jeśli dostęp do takiej osoby ma utrudniony, zdobywa się na niezwykłą cierpliwość i najbardziej wyszukane fortele. Nie spocznie, zanim nie zaspokoi swej żądzy i nie wyssie całego życia ze swej ofiary. Zdolny jest wtedy przedłużać swą morderczą rozkosz i delectować się nią niczym epikurejczyk, potęgując ją nadto wyszukanymi zalotami. W takich przypadkach zdaje się pożądać objawów sympatii i wzajemności. Zazwyczaj jednak zmierza wprost do celu, często natychmiast obezwładnia swą ofiarę, dusi ją i w jedną noc odbiera jej życie.

W pewnych sytuacjach wampir podlega, jak się zdaje, określonym ograniczeniom. W tym szczególnym przypadku, któremu poświęcona jest ta opowieść, Mircalla zmuszona była używać imienia, które, jeśli nawet nie było jej własnym imieniem, musiało się składać z tych samych liter. Zarówno *Carmilla*, jak *Millarca* były anagramami spełniającymi ten warunek.

Baron Vordenburg pozostał u nas przez dwa czy trzy tygodnie po zniknięciu Carmilli. Mój ojciec zapoznał go z historią morawskiego szlachcica i wampira z cmentarza Karnstein-ów i zapytał, w jaki sposób udało mu się odkryć dokładne położenie tak długo ukrytego przed ludzkim okiem grobu hrabianki Mircalli. Na twarzy barona pojawił się tajemniczy uśmiech. Spuścił wzrok, przez chwilę bawił się

futerałem swych okularów, po czym, podnosząc głowę, rzekł:

— Obszerne diariusze owego niezwykłego człowieka i inne należące doń papiery znajdują się obecnie w moim posiadaniu. Najciekawszym wśród nich jest dokument traktujący o wspomnianej przez pana podróży do posiadłości Karnsteinów. Ustne przekazy, rzecz oczywi- sta, zmieniają i upiększają to i owo. Nazwano go szlachcicem z Moraw. W rzeczy samej tam się osiedlił, był też istotnie człowiekiem wysokiego rodu. W rzeczywistości pochodził jednak z Górnej Styrii. Dla naszej historii jest rzeczą ważną, że we wczesnej młodości kochał się on namiętnie i z wzajemnością w pięknej Mircalli, hrabiance Karnstein. Jej wczesna śmierć pogrążyła go w nieopisanym żalu.

W naturze wampirów leży dążność do pomnażania swego rodu na ziemi, jednakowoż dźać się to musi wedle niewzruszonych szatańskich praw. Przyjmijmy, że istnieje okolica całkowicie wolna od tej plagi. W jaki sposób upiór pojawia się tam, jak się rozmnaża? Zaraz się dowiedziecie. Otóż ktoś, bardziej czy mniej grzeszny, kładzie kres swemu życiu. W pewnych okolicznościach samobójca staje się wampirem. Upiór taki nawiedza żywych ludzi we śnie. Ci umierają, a w grobach niemal zawsze zamieniają się w wampiry. Tak też stało się z piękną Mircallą, którą za życia nawiedzał jeden z owych straszliwych potworów. Mój przodek, po którym dziedziczę tytuł i nazwisko, wkrótce to odkrył, a dzięki studiom w tym przedmiocie, jakim oddał się całą duszą, dowiedział się jeszcze znacznie więcej.

Doszedł też do przekonania, że wcześniej czy później na zmarłą hrabiankę, którą tak za jej życia uwielbiał, padnie podejrzenie, iż jest wampirem. Choćby to było prawdą, myśl o profanacji jej szczątków przez ohydę pośmiertnej egzekucji była dlań nie do zniesienia. Pozostawił on osobliwy traktat, w którym dowodzi, iż jeśli dwoisty byt wampira zostanie przecię-ty, jest on skazany na dalsze, znacznie bardziej przerażające życie. Postanowił uchronić przed tym swą ukochaną niegdyś Mircallę.

Użył zatem fortelu, przybywając rzekomo po to, by przenieść szczątki hrabianki w inne miejsce, a w rzeczy samej, by ukryć prawdziwe miejsce jej spoczynku. Gdy jednak zestarzał się i z perspektywy wielu lat spojrzął na padół, który przyjdzie mu opuścić, innymi oczyma ujrzął czyn, którego dokonał, i ogarnęła go groza. Własną ręką wykonał szkice i notatki, dzięki którym mogłem

odszukać owo miejsce; spisał także wyznanie, w którym przyznaje się do popełnionego podstępu. Może nawet zamierzał podjąć jakieś dalsze kroki, ale przeszkodziła mu śmierć. Dopiero dłoń jego dalekiego potomka wskazała ślad prowadzący do legowiska bestii — niestety, dla wielu zbyt późno.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę.

— Jedną z oznak wampira — dodał baron — jest niebywała siła w ręku. Kiedy generał podniósł topór, by uderzyć, szczupła dłoń Mircalli jak stalowa obręcz zacisnęła się na jego ręce. Lecz nie tylko siła upiora jest straszna. Uścisk jego sprowadza odrętwienie, ustępujące bardzo wolno, a często pozostające na zawsze.

Wiosną ojciec zabrał mnie w podróż po Italii. Podróżowaliśmy ponad rok. Jednakowoż groza, którą wzbudziły we mnie opisane tu wypadki, nie ustąpiła szybko. Do dziś w mych wspomnieniach widzę dwie Carmille: raz piękną, wesołą i rozmarzoną, innym razem szatana z wykrzywioną grymasem twarzą, którego ujrzałam w drzwiach zrujnowanego kościoła.

Iczęsto wyrywa mnie z zadumy wrażenie, iż słyszę jej lekkie kroki w drzwiach salonu.

## Posłowie

*Carmilla* jest romanssem grozy, czyli, jak to nazywają Anglicy, „powieścią gotycką”. Z odwiecznych ludowych podań upiory wszelkiego autoramentu wtargnęły do literatury pięknej wraz z romantyzmem. Pisarze i czytelnicy, znuzeni długotrwałym panowaniem chłodnego racjonalizmu wieku oświecenia, z radością przyjmowali dreszcz emocji, który w ich psychice budził zjawiska nadprzyrodzone. W Anglii pisarze epoki romantyzmu, zwłaszcza poeci, sięgają po tematykę nadprzyrodzoną z pełną swobodą. Przeświadczenie o tajemniczości, dziwności, uduchowieniu i życiu całej natury, przeświadczenie, które jest podłożem całego prądu literackiego, często znajduje wyraz literacki w irracjonalnych zjawach. Najbliższe *Carmilli*, kobiecie-wampirowi, są postaci kobiet-demonów z najślawniejszą, Geraldiną z poematu *Christabel* S. T. Coleridge'a, na czele.

*Carmilla* należy do nurtu nie poezji, lecz prozy, która kwitła bez ustanku od epoki przedromantyzmu aż do momentu, kiedy uległa rozszczepieniu pod koniec XIX wieku. Wtedy zawarte w romansie grozy elementy sensacyjne przeniosły się do powieści szpiegowskich i „dreszczowców”, elementy tajemniczości przekazane zostały powieściom o detektywach, a elementy fantastyki — powieściom fantastyczno-naukowym.

W pierwszej fazie swego rozwoju, w XVIII wieku, romans grozy korzystał beztrąsko z teatralnego sztafażu. Na przykład: wielka, opustoszała budowla średniowieczna (gotycka!), nie kończące się podziemia z tajemniczymi wyjściami na zewnątrz, kaplice z grobami, skąd o północy wychodzą duchy zmarłych, jęcząc i podzwaniając łańcuchami, i domagają się ofiary i zadośćuczynienia za zapomniane zbrodnie. Albo inny przykład: orientalny pałac z najkoszto-wniejszych materiałów, niebotyczne wieże, na których szczycie składa się ofiary z ludzi, lub pałac śmierci z czarnych marmurów.

Czytelnicy przyjmowali te fantazje za dobrą monetę, przy czym oddalenie od rzeczywistości w czasie i przestrzeni ułatwiało poddanie się fikcji literackiej. Pierwsi autorzy roman-sów grozy, Horace Walpole i pani Radcliffe, oraz cała plejada ich następców gromadzili

wszelkie dziwności z naiwną zachłannością, czasem groteskową dla dzisiejszego czytelnika.

Oprócz teatralnej scenerii romans grozy charakteryzowała także melodramatyczna intryga. Główną rolę odgrywał często wyrafinowany zbrodniarz, kryjący nikczemność pod pięknymi, czasem świątobliwymi pozorami; często władca lub arystokrata, który był winien tajemniczego przestępstwa. Obok niego przebywała młoda, piękna, cnotliwa bohaterka, której ręka, cnota lub odziedziczone bogactwa były przedmiotem zakusów czarnego charakteru. Zguba groziła bohaterce bezustannie, ta jednak wychodziła obronną ręką z najbardziej nawet nieprawdopodobnych sytuacji. Wyjątek stanowiło zakończenie, nie zawsze szczęśliwe dla bohaterki i jej sprzymierzeńców.

Wartość artystyczna tych niezwykle popularnych powieści była skromna, przede wszystkim dlatego, że styl i język tych utworów są mierne. Dopiero w okresie pełnego romantyzmu romans grozy przybierał czasem szatę wspaniałą. Niesamowite opowiadania E. A. Poe'go i Nathaniela Hawthorne'a są tutaj szczytowymi osiągnięciami.

W następnej epoce literackiej, w okresie realizmu krytycznego (epoka wiktoriańska w Anglii — odpowiednik polskiego pozytywizmu), elementy romansu grozy można znaleźć u wielu znakomitych pisarzy, przede wszystkim u Dickensa w jego straszliwych „romanty-cznych” postaciach. U pisarzy niższej rangi element ten jest często bardzo silny. Przychodzą tu od razu na myśl nazwiska Bulwer Lyttona i Wilkie Collinsa (ucznia Dickensa, autora *Kamienia księżycowego* i *Kobiety w bieli*), a wraz z nimi nazwisko Irlandczyka Josepha Sheridana Le Fanu.

Le Fanu (1814—1873) pochodził z rodziny francuskich hugenotów, od kilku pokoleń zamieszkałych w Dublinie. Syn duchownego, otrzymał staranne wychowanie. Kształcił się w szkołach i na uniwersytecie w Dublinie. Sheridan był przystojnym, inteligentnym mężczyzną; brał udział w życiu towarzyskim najlepszych sfer rodzinnego miasta. Z wykształcenia prawnik, zainteresował się dziennikarstwem i stopniowo stał się głównym właścicielem szeregu irlandzkich dzienników i tygodników.

U szczytu błyskotliwej kariery czterdziestoczteroletniego Sheridana Le Fanu spotkał cios: stracił ukochaną żonę. Załamał się zupełnie. Nie założył drugiej rodziny. Stał się odludkiem i



abnegatem.

Le Fanu przejawiał zamiłowanie do pracy literackiej już od dziecka: napisał wiele wierszem i prozą. Jego realistyczne powieści, poematy i proza publicystyczna uległy nieco przyćmieniu. W pełnym blasku przetrwała natomiast twórczość fantastyczna, dzieło ostatnich lat życia. Jednym z niewielu przejawów energii pisarza po śmierci żony była bowiem gorączkowa niemal aktywność literacka, która przyniosła dwanaście tomów opowiadań o tematyce demonicznej. Są to na ogół krótkie opowiadania, czasem tylko dochodzące do rozmiarów powieści.

Charakterystyczne jest, że Le Fanu traktuje swoje upiorne zjawy z pełną powagą i naukową niemal precyzją. Był naprawdę dobrze odczytany w starych dziełach z zakresu demonologii, czarnej magii, wiedzy hermetycznej itp. Mistyczne idee Swedenborga były mu szczególnie bliskie. Warto zwrócić uwagę, z jaką znajomością rzeczy bohaterowie *Carmilli* zabierają się do wstrętnego aktu unieszkodliwienia wampira.

Najsławniejszym i najlepszym romansem Sheridana Le Fanu jest *Uncle Silas (Wujek Silas)*, którego bohaterkę więżą w zamkniętym pokoju. Okrutne tortury moralne zadawane niewinnej Maud i złowieszczy nastrój zagrożenia osiągają punkt kulminacyjny w scenie, kiedy Maud spogląda przez okno na ludzi kopiących dla niej grób.

Carmilla jest jednym z pięciu opowiadań zebranych w tomie pt. *In a Glass Darkly (Przez zwierciadło w zagadce)*, 1872. Nie wszystkie te opowiadania kończą się uratowaniem bohaterki, jak *Carmilla*. Na przykład *Zielona herbata*, najlepsza obok *Carmilli* nowela z tego tomu, ukazuje uczonego duchownego, którego prześladowa dziwaczny stwór, jakby małpa. Uczony przepada za zieloną herbata, ale z tego właśnie napoju pochodzi owa zjawy, której dzikie skłonności i żądze zaczynają z wolna przenikać do psychiki uczonego i opanowują ją tak, że bohater popełnia samobójstwo.

Le Fanu stosuje odwieczne rekwizyty romansu grozy, ale w sposób umiarkowany. W *Carmilli* pustkowie, zamek w górach, ruiny, cmentarz odgrywają swoją rolę, są jednak przedstawione prawdopodobnie. Niesamowite postaci ograniczone są do jednej (i do przelotnie ukazanego demonicznego orszaku wprowadzającego wampira). Psychologia postaci ludzkich w *Carmilli* jest bogata, niezwykła, lecz realistyczna. Zwłaszcza melancholia bohaterki, pogłę-

biająca się w czasie kontaktu z przejawami zła, przedstawiona jest całkowicie wiarygodnie.

Kunszt autora uwypukla się w stopniowaniu nastroju grozy i w pogłębiającym się kontraście między nieświadomością bohaterki a świadomością czytelnika, który z początku dostrzega jedynie poszlaki (pies wyje, podświadomość ludzka reaguje wstrętem na obecność upiora), a potem widzi dowody (jak np. ostry ząb Carmilli).

Znakomity jest również kontrast między niesamowitością treści a prostotą środków wyrazu. Autor wielokrotnie zapowiada, że będzie to niewiarygodna historia — i w ten sposób rozbraja sceptycyzm. Bohaterka-narrator wielokrotnie mówi, że nie wie, jak ma przedstawić swe myśli — i znieczula czytelnika na zastosowane środki artystyczne. A jest ich niemało. W pozornie niewymyślny styl wplecione są kunsztowne sztuczki, jak na przykład powtarzanie przez Carmillę słów: „moja miłość jest tak wielka, że cię zabije”, słów wywołujących dreszcz emocji i rosnące napięcie.

Niezwykle subtelnie potraktowane jest zakończenie powieści. Trudno powiedzieć, czy bohaterka cieszy się ze swego ocalenia, czy też żałuje. Jej melancholia ma zabarwienie pato-logiczne, przebija przez nią jednak również ambiwalencja uczuć. Nie ulega wątpliwości, że bohaterka również predysponowana jest do zostania wampirem. Potwierdzają to, powtórzone przez nią jakby naiwnie, jak gdyby nie była świadoma znaczenia słów, rzekomo naukowe informacje o przekazywaniu cech wampira innym ludziom (bohaterce śnił się wampir!). Autor wyraźnie, choć subtelnie, sugeruje, że bohaterka przechodzi, być może, przeobrażenie w upiora.

I to jest nowoczesny wydźwięk *Carmilli*. Poprzez staroświeckie, nieco śmieszące mało-widło przeziera odwieczne i niezmiennie ostrzeżenie, że prawda i dobro człowieczeństwa tak łatwo może zmienić się w demoniczne zło i fałsz, a piękno nie uratuje człowieka przed tym losem.

*Jerzy Strzetelski*